

Prenumerata w Warszawie:

Rocznie . . . Rs. 7 kop. —
 Półrocznie . . . " 3 " 50
 Kwartalnie . . . " 1 " 75
 Miesięcznie . . . " — " 60

Za odnośzenie do domu
 dopłaca się kop. 5 mies.

Za zmianę adresu dopłaca
 się kop. 20.

Cena pojedynczego nume-
 ru bez dodatku kop. 20.

GŁOS

Prenumerata na Prowincyi
i w Cesarstwie:

Rocznie . . . Rs. 9 kop. —
 Półrocznie . . . " 4 " 50
 Kwartalnie . . . " 2 " 25

Za Granicą:

Rocznie . . . 12 guld. — 18 m.
 Półrocznie . . . 6 " 9 "

Ogłoszenia przyjmuje kan-
 tor Redakcyi po kop. 10 za
 wiersz petitowy lub za je-
 go miejsce. Reklamy po
 kop. 25.

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNO-POLITYCZNY.

Wychodzi co Sobota.

REDAKCJA: Ulica Bracka Nr. 25.
Ekspedycja główna: Nowy - Świat Nr. 41,
 w księgarni Teodora Paprockiego i S-ki.

Co kwartał dodaje się bezpłatnie
 jeden zeszyt dzieł naukowych.

TREŚĆ: Nowy sojusz, przez J. L. P.
 Czem jest „nacyjonalizm“, przez Edwarda Bellamy'ego.
 Emigracja amerykańska, w literaturze ludowej, przez
 K. Bystrzyckiego.
 Nowe Powieści, przez A. P. Ordyńskiego.
 Bez obłudy, przez Maryjana Bohusza.
 Głosy: Irritabile genus. — W sprawie uczniów aptekar-
 skich. — Powrót emigrantów. — Oficjaliści wiejscy. —
 obrońcy pana Kościelskiego. — Warsz. Dn. o emigracyi. —
 Nowe przepisy.

Z obcego świata, przez J. H. Siemienieckiego.
 Korespondencja: z Dobrzynia nad Wisłą, przez G. K.
 Przegląd społeczny: Łódź, Z gub. piotrkowskiej, Marku-
 szów (gub. lub.), Wilno, Kijów, Kraków, Lwów.

Wyjaśnienie, p. J. Witorta.

Przegląd polityczny.

Kronika powszechna.

Odpowiedzi od redakcyi.

Ogłoszenia.

Odcinek: Na wsi, nowela Guy Maupassant.

W dodatku: Wróg ludu, dramat w 5-u aktach przez Hen-
 ryka Ibsena, przekład H. B.

Od redakcyi.

Przypominając szanownym prenumera-
 torom, że czas jest odnowić przedpłatę,
 prosimy wszystkich życzliwych o dalsze
 popieranie pisma.

Dla ulżenia sobie w pracy, która po-
 chłaniała nam zbyt wiele czasu i sprawia-
 ła dużo kłopotu, od 1 Lipca 1891 r. po-
 wierzamy ekspedycję GŁOSU księgarni
 T. Paprockiego i S-ki Nowy Świat N. 41,
 dokąd też nadsyłać należy prenumeratę.

Redakcyja z dniem 8 Lipca przenosi się
 na Nowy Świat 21.

Polecamy czytelnikom świeżo wydaną na-
 kładem naszym powieść

Edwarda Bellamy'ego

SPOSÓB D-RA HEIDENHOFFA

Cena 50 kop.

Nowy sojusz.

Rozprawy nad budżetem w austriackiej ra-
 dzie państwa wyjaśniły jeżeli nie wzajemne sto-
 sunki, to przyszłe ugrupowanie stronnictw. Oka-
 zało się, że rząd opierać się będzie na tak zwa-
 nej lewicy niemieckiej i na Kole polskiem. Do
 tych dwóch grup głównych przyłączą się zape-
 wne ponniejsze, jak np. rusini i umiarkowane
 żywioly z dawnej prawicy, czyli klubu konser-
 watystów, który rozpaść się musi.

W ten sposób sklejona większość parlamen-
 tarzna niewątpliwie przez czas pewien, nawet do
 przyszłych wyborów, które dopiero za sześć lat
 nastąpią, utrzymać się powinna. O wartości tak-
 kiej łataniny nieraz wyrażaliśmy nasze zdanie,
 teraz zaznaczymy tylko, że w obecnych warun-
 kach bodaj ta jedna kombinacyja była możliwą.
 Zwrot bowiem w kierunku federalistycznym,
 śmiały a w następstwach dosyć wątpliwy, wy-
 magał by zasadniczej zmiany polityki wewnę-
 trznej a może nawet i polityki zewnętrznej
 Austrii, oraz zmiany ustaw.

Stęskniona władzy lewica niemiecka ułatwiła
 hr. Taaffemu zadanie i wykazała usposobienie
 pojednawcze. Z Kołem polskiem również nie
 miał prezes ministrów kłopotu. Zachowawcy
 podobno opierali się trochę sojuszowi, ale po-
 słowie liberalni, poparci przez stronnictwo środ-
 ka, zwyciężyli w Kole i sojusz z lewicą niemiec-
 ką zagłosowali.

Ponieważ jakiś kompromis był konieczny,
 a ten okazał się jedynie teraz możliwym, nie
 podobna potępiać posłów galicyjskich że się na
 sojusz parlamentarny z lewicą zgodzili w zasa-
 dzie. Inna rzecz jednak, czy przeprowadzili
 sprawę całą należycie, czy zabezpieczyli intere-
 sy kraju. Z początku mówiono tylko o polityce
 wolnej ręki, teraz mówią już otwarcie o ściślejs-
 zym porozumieniu, nie nadmieniając wcale na
 jakich warunkach nastąpiło. Kompromis bez
 wytargowania odpowiednich ustępstw realnych
 byłby poprostu niedorzecznością, a jednak, zda-
 je się, że taką właśnie niedorzeczność popełnio-
 no. Obietnice założenia oddawna zapowiadane-
 go wydziału medycznego we Lwowie lub przy-
 spieszenia regulacyi rzek—to drobnostki, o któ-
 rych wspominać nie warto. Bez pomocy Koła
 hr. Taffe nie mógłby żadnej większości skłecić,
 musiałby więc albo porozumieć się z młodo-cze-
 chami i przywrócić rządy prawicy, na czem ga-
 licyjanie źle by nie wyszli; albo skłonić lewicę

do znacznych ustępstw, na które liberalni niem-
 cy chętnie by przystali, byle schwycić ster wła-
 dzy, tymbardziej że zawsze zgadzali się na
 względną autonomiją Galicyi, a nawet propono-
 wali utworzenie z niej trzeciej, samodzielnej
 części państwa. Tymczasem posłowie polscy
 nie umieli czy nie chcieli wyzyskać swego stano-
 wiska uprzywilejowanego i poprzestaną zape-
 wne na tem, że jeden z ich grona, prof. Biliński
 zostanie ministrem. Kraj z takich ministrów-
 rodaków żadnej korzyści niema, przeciwnie, za
 rządów Dunajewskiego ciężar podatkowy w Ga-
 licyi wzrósł o 19 milionów zlr.

Czemu przypisać to dziwne umiarkowanie, tę
 niespodziewaną bezinteresowność. W Kole pol-
 skiem niema wybitnych mężów stanu, ogarnia-
 jących myślą szersze widnokreśli przyszłości, ale
 nie brak wcale polityków praktycznych, zręcz-
 nych i wytrawnych, którzy wybornie targować
 się umieją. Jeżeli hr. Taffe nabył poparcie ich
 tanim kosztem, jeżeli nawet żądań śmielszych
 nie postawili, to dlatego, najpierw, że strasznie
 boją się opozycyi, chociażby chwilowej, od któ-
 rej odwykli. Od 1873 r. kiedy w gabinecie za-
 siadł, jako minister bez teki, Ziemiałkowski, po-
 słowie polscy stale trzymali z rządem i nawet
 w 1879 r. przy zmianie ministryum, i polityki,
 nie odgrywali stanowczej roli. Dziś w Kole,
 z wyjątkiem kilku „szanownych“ niedołęgów,
 niema posłów, którzy by brali udział w opozy-
 cyi. Politycy galicyjscy wzrastali i ćwiczyli się
 w obozie rządowym, przez 20 lat do tego stano-
 wiska przystosowywali swoją taktykę i do roli
 opozycyjnej nie są zupełnie zdolni. Zaznaczy-
 liśmy już, że byłaby to w najgorszym razie opo-
 zycyja chwilowa, bo w dzisiejsze izbie bez Koła
 nie może być większości. Właściwie zaś nale-
 żałoby ściśle określić swoje żądania i nie odstę-
 pować od nich.

Otóż teraz przyjrzyjmy się drugiej przyczynie
 bezinteresowności Koła polskiego. Członkowie
 jego rozumieją, że mogą stawić żądania rozle-
 głe, jeżeli zaś nie czynią tego, to z powodu że
 nie mają czego żądać. Czyż Galicyja tak obfi-
 cie we wszelkie swobody polityczne jest uposa-
 żoną, czy ma możność rozwoju instytucyj spo-
 łecznych? Bynajmniej, ale dla tych żywiolów,
 których przedstawiciele zasiadają w Kole, zmia-
 ny zasadnicze nie są pożądane. Bo i czego ża-
 dać mają posłowie szlacheccy, a takimi są pra-
 wie wszyscy? Rozszerzenia praw wyborczych?
 które wzmocniło by przedewszystkiem demo-
 krację miejską i chłopów, nie mówiąc już o ru-
 sinach. Rozwoju samorządu?—co sprowadziło
 by mniej więcej te same rezultaty. Ani wolno-

ści prasy, ani lepszego zabezpieczenia praw osobistych politycy galicyjscy również domagać się nie mogą, bo i tak swobody te, w dotychczasowym, szczupłym zakresie, stoją im nieraz kością w gardle. Nie z Wiednia przecie wychodzą rozkazy konfiskaty książek i dzienników galicyjskich, nie centralne władze nakazują chwycić niby to podejrzanych obywateli i więzić, lub obcokrajowców bez powodu i bez sądu wydalać. Koło polskie, gdyby chciało, mogłoby od razu zahamować skutecznie działalność ck. prokuratorów i dyrektorów policji, jeżeli zaś pobleża nadużyciom — to dla tego, że są żywiołom i stronnictwom rządzącym na ręce.

Bodaj czy nie dla tego posłowie galicyjscy tak uroczyście wobec rządu i lewicy zaznaczają konieczność utrzymania dotychczasowej autonomii galicyjskiej, że lękają się trochę, aby liberalni Niemcy nie pomyśleli czasem o reformach takich, jak np. rozszerzenie prawa wyborczego. Bądź co bądź kiedy centraliści rządili w Wiedniu, nie było wielu takich krzyczących nadużyć w Galicyi, jakie działy się później i dzieją dzisiaj, za rządów autonomicznych. Dostyc przyjrzyć się stosunkom, ażeby zobaczyć, że dotychczas w Austrii, a zwłaszcza w Galicyi, pomimo konstytucji i samorządu, wszechwładnie niemal rządzi policja. A policja austriacka ze zmianą rządów i stosunków nie zmienia się wcale i dotąd trzyma się rutyny, w jakiej zażęzła jeszcze za czasów Metternicha. Można przytoczyć przykłady, kiedy skutek formalizmu biurokratycznego spełniała i spełnia czyny, które nawet daleko bardziej podchodzą pod pojęcie zdrady państwa aniżeli, mniemane spiski kółek studenckich. Władze centralne w Wiedniu nie mają czasem nawet pojęcia o charakterze tych nadużyć, które tolerują władze autonomiczne w interesie kliki rządzącej i wogóle kół wpływowych w Galicyi.

Czy sojusz z lewicą przyczyni się choć trochę do zmiany tych stosunków, trudno powiedzieć,

bo posłowie galicyjscy strzedz będą pilnie tego rodzaju autonomii krajowej. W każdym razie stronnictwo liberalne może w razie potrzeby użyć przeciw Kołu broni skutecznej, o ile tylko szczerze zgodzi się na utrzymanie istotnego samorządu w Galicyi. Podjęcie przez rząd centralny takich reform, jak rozszerzenie praw wyborczych, a chociażby tylko zwiększenie liczby posłów, nadanie większej swobody prasie, poskromienie samowoli policyjnej — znalazłyby odzew sympatyczny w szerokich warstwach ludności, a jednocześnie zaszachowały zupełnie temu lub jeżeli by się odważyło, straciło by w kraju wpływ i powagę. Zresztą w samym kole jest, nieliczny wprawdzie, odłam, któryby w danym wypadku może zerwał solidarność.

Ale posłowie galicyjscy mogą spać spokojnie na laurach, zdobytych w ciągu ery autonomicznej, bo liberali wiedeńscy boją się również wszelkich reform stanowczych. Ta zasadnicza bezwładność obu partij zapewnia najlepiej trwałość sojuszu.

J. L. P.

Czem jest „nacyjonalizm”

przez

Edwarda Bellamy'ego

(z *Contemporary Review*).

W styczniowym zeszytu angielskiego miesięcznika *Contemporary Review* z r. 1890 ukazała się praca p. Emila de Laveleye'a pod nagłówkiem: *Dwie nowe utopie*. Jako jedna z owych utopij występuje tam podany niedawno przez p. Karola Secretana pomysł społecznego przeobrażenia; drugą zaś ma być plan współdziałania narodowego, skreślony w „Roku 2000”, a znany w Stanach Zjednoczonych pod nazwą nacyjonalizmu. Odpowiedniość owego miana tem się usprawiedliwia, że

„nacyjonalizm” jest logicznym opracowaniem i rozwinięciem zaczątków idei narodu (*natio*), który nie jest niczem innym, jak tylko zjednoczeniem ludzi ku użytkowaniu zbiorowej władzy zdobywania wspólnego dobrobytu. Zwolennicy „nacyjonalizmu” utrzymują, że takie pojmowanie narodu, jakkolwiek dotąd urzeczywistnione tylko w posługiwaniu się zbiorową władzą do celów wojennych i sądowych, w logicznym rozwinięciu swem, a w razie niezbedności dla dobra ogólnego, zawierać w sobie może narodową organizację przemysłową, opartą na powszechnej powinności przemysłowej, oraz na ogólnym zapewnieniu środków utrzymania. Jasnym jest, że takie znaczenie wyrazu „nacyjonalizm” znakomicie przekracza nadawaną mu zwykle treść li tylko polityczną albo etniczną.

W marcowym zeszytu tegoż miesięcznika pan de Laveleye ocenia „nacyjonalizm” w dalszym ciągu, zamieszczając drugą rozprawkę. W obecnej pracy mej chciałbym odpowiedzieć na zarzuty, zawarte w obu tych artykułach. Jestem bardzo obowiązany panu Laveleye'owi za sumienny wykład przemysłowej strony nacyjonalizmu, czemu poświęcił on znaczną część swojej pracy. Ostatecznie, dochodzi autor do wniosku, że — co do możliwości urzeczywistnienia — należy uczynić „nacyjonalizmowi” dwa główne zarzuty: „jeden z nich dotyczy wyznaczania czynności, drugi podziału wytworów”. Pod nagłówkiem pierwszym zaznacza on, że skoro we wszystkich postaciach przemysłu panować ma zasada obioru pracowników na podstawie dowodów ich uzdolnień, przyczem, po upływie trzech pierwszych lat służby, żaden inny przymus czynnym nie będzie, z wyjątkiem tylko tego wymagania, iż pewnego rodzaju robota musi być wykonaną — tedy: „powołania i zawody przyjemniejsze będą rozeliwytywane, zaś nikt nie zechce spełniać czynności mniej przyjemnych”.

Oczywiście, w książce naszej na zarzut ten znajdujemy odpowiedź taką, że w zawodach bardziej mozolnych liczba godzin pracy ograniczoną zostanie do połowy, jednej trzeciej lub nawet czwartej części czasu, wymaganego w bardziej ponętnych zajęciach. P. Laveleye uznaje, iż zasada ta jest niewątpliwie słuszną, oraz że w pewnej mierze, mogłaby być stosowaną w narodowej organizacji przemysłu; ale mniema on, że istnieją pewne roboty tak odrażające, iż żadne stosunkowe uszczuplanie godzin, nie szkodzące wymaganiom ciągłości działań przemysłowych, nie będzie wystarczającym,

NA WSI

NOVELA

Guy de Maupassant.

Dwie chaty stały obok siebie, u stóp pagórka, nie opodal miasteczka kąpielowego. Ich właściciele uprawiali w pocie czoła ziemię nieurodzajną, żeby wychować swe dzieci. Każde stadło miało ich po czworo. Przed sąsiadującymi z sobą drzwiami cała gromada malców rola się hałaśliwie od rana do nocy. Dwoje najstarszych miało po 6 lat, dwoje najmłodszych około 15 miesięcy. Wesela, a potem narodziny przypadały prawie jednocześnie w jednym i drugim domostwie.

Obie matki z trudnością rozróżniały swych potomków pośród tej dzieciarni, a ojcowie nie rozpoznawali ich wcale. Osiem imion wirowało im w głowie i mieszało się wciąż z sobą. Chcąc zawołać które z dzieci, wymawiali zwykle trzy imiona, zanim natrafili na właściwe.

W pierwszej z tych chat, idąc od stacyi wód w Rolleport, mieszkali małżonkowie Tuvache, którzy mieli trzy córki i jednego syna; w drugiej Vallin'owie, mający jedną dziewczynę i trzech chłopców.

Wszystko to żywiło się nędznie zupą, kartoflami i świeżem powietrzem. O 7-mej rano, o 12-stej w południe, i 6-stej wieczorem, obie go-

spodynie zwolywały swój drobiazg, żeby go nakarmić, jak pastuchy spędzają swe stado gęsi. Dzieci siadały szeregiem, podług starszeństwa, przy stole wypolerowanym 50-letniem używaniem. Ostatni malec z trudnością dosięgał go buzią. Stawiano przed nimi miskę pełną chleba rozmiękłego w wodzie, w której ugotowały się kartofle z połówką głowy kapusty i 3-ma cebulami. Cały szereg najadał się do syta. Najmniejszemu bębnowi matka sama dawała jeść. W niedzielę pojawiał się kawałek mięsa ku ogólnej uciesze i ojciec zazwyczaj siedział dłużej przy stole, powtarzając: „chciałbym to mieć codzień”.

Pewnego popołudnia w miesiącu sierpniu lekki powozik zatrzymał się nagle przed dwiema chatami, i młoda kobieta, która powozila sama, zawołała do siedzącego obok niej mężczyzny:

— Spojrzno, Henryku, na tę gromadę dzieci! Jakże one ładnie wyglądają, bawiąc się w tym pyle.

Mężczyzna nie odpowiedział, przyzwyczajony będąc do jej zachwyty, które zdradzały boleść i były dlań niejako wyrzutem.

Kobieta rzekła znowu:

— Muszę je uściskać! Ach, jakżebym chciała mieć jedno — o, tamto... najmniejsze.

I wyskoczywszy z wózka, pobiegła do dzieci, porwała jedno z dwojga najmłodszych, synka Tuvache'ów, uniosła je w górę, i namiętnie całowała brudną twarzyczkę, płowe kędzierzawe włoski, powalane ziemią, i rączkę, które mi-

lec trzepotał, żeby się pozbyć natrętnych pieszczoł.

Potem wskoczyła na wózek i szybko odjechała. Ale w następnym tygodniu przybyła znowu, siadła na ziemi, wzięła małego na kolana, nakarmiła go ciastkami, wszystkim innym dzieciom dała cukierków i swa woliła z nimi, jakby rówieśnica, a mąż tymczasem czekał cierpliwie w swym lekkim powoziku.

Jeszcze raz przyjechała, zapoznała się z rodzicami, i odtąd pojawiała się codzień, przywożąc w kieszeniach pełno łakoci i monety drobnej.

Nazywała się pani Henrykowa d'Hubières.

Gdy przybyli oboje pewnego ranka, mąż wysiadł wraz z nią. Nie zatrzymując się przy dzieciach, które znały ją już dobrze, weszła do chaty.

Tuvache'owie łupali drzewo do zupy; wyprostowali się bardzo zdziwieni, podali stolki i czekali.

Młoda pani przerywanym głosem, drżąc całą, przemówiła:

— Przychodzę do was, moi dobrzy ludzie, bo chciałabym... chciałabym zabrać z sobą waszego... waszego chłopczyka...

Wieśniacy stali zdumieni, bezmyślni, i nie odpowiadali.

Odetchnęła głęboko i rzekła znowu:

— My nie mamy dzieci... jesteście osamotnieni. Wzielibyśmy go w opiekę... Zgadza się?

Chłopka zaczynała rozumieć. Zapytała:

nie nakłoni ludzi do oddania się im dobrowolnie; takimi np. są, podług niego: praca górnika i palaczy machin parowych. Nie wydaje mi się, aby wypadki takie nasuwały zgoła jakąś trudność. Naprzód, rozumiemy, że z nastąpieniem nacyjonalizmu, zgubne, niezdrowe albo oburzające warunki, jakie towarzyszą dzisiaj całkiem niepotrzebnie tym, oraz wielu innym postaciom pracy, zostaną usunięte. Przypuśćmy, że wskazane przez pana Laveley'a rodzaje pracy są już w taki sposób pozbawione wszystkich swych rysów najmniej pożytecznych. Gdyby znajdowano jeszcze, że ograniczenie czasu zajęć w tych zawodach np. do trzech albo czterech godzin nie stało się dość łatwą zachętą dla ochotników, to wyobraźmy sobie, że górnika i palacza! danoby wówczas dłuższe wakacje, naprzykład do miesiąca sześciu, podczas kiedy w innych zawodach praca mogłaby trwać przez dziesięć albo jedenaście miesięcy. Czyliż nie jest prawdopodobnym, iż rzuconoby się gwałtownie do kopalni i parowców, pozostawiając nawet bez żadnej pomocy koleje żelazne i fabryki?

Ale nie myślę tutaj pozostać się z p. Laveley'em, odpowiadawszy mu jedynie na zarzut; sam chciałbym wnieść tu przeciwko niemu oskarżenie poważne. Jego rozumowanie, że społeczność nie wytrzyma zniesienia ubóstwa, gdyż ludzie, nie podlegając już groźbie śmierci głodowej, nie zechcą wykonywać bardziej odrażających rodzajów pracy, jest chyba wyraźnie rozumowaniem na korzyść niewoli ludzkiej. Osoby, żyjące dziś jeszcze, bardzo dobrze pamiętają, jak ten sam dowód przytaczano dla utrzymania pracy przymusowej w jamajskich plantacjach trzciny, oraz w plantacjach bawełny Stanów Południowych. Kiedy Wilberforce i Garrison domagali się, aby uwolniono murzynów, odpowiedziano im, że po oswobodzeniu murzyni nie zechcą uprawiać trzciny i bawełny, oraz że świat pozbawionym będzie odnośnych wytworów. Czyliż nie taką samą jest logika p. Laveley'a, gdy rozumuje on, iż białych nie należy uwalniać z pod ucisku nędzy, gdyż zabraknie nam węgla, a parowce nasze przestaną pełnić swoją powinność? Czyż można wyobrazić sobie silniejszy dowód przeciwko obecnemu systemowi przemysłowemu, nad owe oświadczenie jednego z poważnych jego obrońców, że sprawność jego działań wymaga utrzymania rasy helotów w stanie jakiejś służby przymusowej?

— Państwo chcecie zabrać nam Karolka? O, nie damy go, z pewnością!

Wtedy p. d'Hubières rzekł:

— Moja żona źle się wyraziła. Chcemy go przybrać za swego, ale powróci do was, zobaczycie go. Jeśli wyrośnie na porządnego człowieka, jak mam nadzieję, to odziedziczy po nas majątek. Gdybyśmy przypadkiem mieli dzieci, należałby do równego działu z nimi. Ale jeżeli byśmy nie mieli z niego pociechy, to po dojrzeniu do pełnoletności, dostałby 20 tys. fr. która ta suma zostanie niezwłocznie złożoną na jego imię u notaryjusza. Pomyśleliśmy i o was: będziecie pobierali do samej śmierci 100 fr. miesięcznie. Czyście mię zrozumieli dobrze?

Chłopka zerwała się, jak szalona.

— Chcecie, żebym wam sprzedała Karolka? Nic z tego nie będzie! Kto to żąda takich rzeczy od matki! Co nie, to nie! To byłoby ohydne!

Gospodarz nie mówił nic, stał poważny i zadumany; tylko wciąż głową potakiwał żonie.

Pani d'Hubières, zrozpaczona, rozplakała się i zwróciwszy się do męża, wśród łkań, głosem dziecka, którego zwykle życzenia są zawsze spełniane, wybąkała:

— Oni nie chcą, Henryku, oni nie chcą.

Próbowali raz jeszcze.

— Ależ, moi kochani, pomyślcie o przyszłości dziecka swego, o jego szczęściu, o...

Rozjątrzona chłopka przerwała:

— Wiemy, rozumiemy wszystko... nie ma się nad czem namyslać... Precz ztąd... nie poka-

Obok tej trudności wykonywania na świecie robot podległych bez głodowego bicza, najważniejszym, jak oznajmia p. Laveleye, zarzutem przeciwko nacyjonalizmowi jest porządek wynagradzania za pracę, t. j. ów równy udział w wytworze, mający przysługiwać wszystkim. Aby dowieść, iż żaden taki porządek, obierający sobie za zasadę równość udziału, nie może cieszyć się powodzeniem, przytacza autor upadek warsztatów narodowych Ludwika Blanca w Paryżu w r. 1848, oraz upadek algierskich osad marszałka Bougeaud w Beni-Mered. Gdyby potrzebował jeszcze paru tuzinów przykładów upadku osad albo społeczności, utworzonych jako doświadczalne próby w dziedzinie społecznej lub przemysłowej, a próśd niezgodnego z niemi i wrogiego otoczenia—mógłbym mu ich z łatwością dostarczyć. Przedsięwzięcia takie zazwyczaj upadają, z powodów widocznych, gdyby zaś nawet czasem powiodło się któremu z nich, powodzenie również mało świadczyłoby na korzyść teoryj odnośnych, jak upadek na ich niekorzyść. Gdybym ja w mojej książce mówił o jakiejś osadzie, przykłady owe byłyby właściwe, ale obecnie—znaczenia ich nie mogę zrozumieć. Pomysłem moim była korporacja narodowa; żaden zaś nacyjonalista nie będzie utrzymywał, że zastąpienie porządku obecnego przez nowy może się odbywać inaczej niż stopniowo—tak pod względem zrównania wynagrodzeń, jak i pod innymi względami.

Uzmysławiając dalej niemożność urzeczywistnienia porządku przemysłowego o powszechnym udziale jednakim, p. Laveleye zapytuje, jaka kara dosięgnie próżniaków albo ludzi, niechęcych pracować. Uznaje on, że w pomysle naszym przypuszcza się potrzebę jakiegoś przymusu do pewnych rodzajów pracy, oraz potrzebę kary za opór, ale pyta się, kto wymierzać ją będzie, kto będzie na nią skazywał w razie potrzeby? Powiada on: „Zapewne, ludzie, według wszelkiego prawdopodobieństwa, będą wogóle odmawiali roboty; ale co do tych, którzy robić będą jaknajmniej, albo też nie dbałe, to czy ulegną oni karze, czy też otrzymają zapłatę jednaką, albo raczej czy przysługiwać im będzie taki sam kredyt, jak innym? Państwo nie będzie odprawiało robotników złych, tak jak dzisiaj, gdyż w braku przedsiębiorstw prywatnych, odprawa taka równałaby się karze śmierci.“

Pozwolę sobie upewnić p. Laveleye'a, że państwo nie będzie odprawiało złych robotników, a to dla przyczyn całkiem innych, niżli to, że odprawa

zujcie mi się więcej na oczy! Trzeba nie mieć wstydu, żebyście chcieli zabrać komuś dziecko.

Wychodząc z chaty, pani d'Hubières przypomniała sobie, że są dwa maleństwa, zapytała więc przez łzy, z uporem kobiety samowolnej i rozpieszczonej, która nie znosi czekania:

— Ale ten drugi malec nie wasz?

Ojciec Tuvache odpowiedział:

— Nie... sąsiadów. Możecie państwo tam pójść, jeśli chcecie.

I wszedł do chaty, w której się rozlegał gniwny głos jego żony.

Vallin'owie siedzieli przy stole, jedząc zwolna kromki chleba, które smarowali cieniuchno masłem, zatkniętem na końca noża, co leżał na talerzu pomiędzy nimi.

Pan d'Hubières zaczął znowu przekładać swój projekt, ale ostrożniej, z wybiegami..

Wieśniacy potrząsali głowami na znak odmowy, lecz dowiedziawszy się, że mieliby 100 fr. miesięcznie, spojrzeli jedno na drugie, naradzając się oczami, bardzo zachwiani.

Długo milczeli udreżeni, wahając się. Nakoniec kobieta zapytała:

— Cóż ty powiadasz na to?

A mąż odrzekł z powagą:

— Powiadam, że to rzecz nie do pogardzenia.

Wtedy pani d'Hubières, drżąc z niepokoju, zaczęła im przekładać, jaka to przyszłość czeka ich malego, jaki on będzie szczęśliwy, jak dużo pieniędzy będzie mógł dawać im później...

Chłop zapytał:

jaka równałaby się karze śmierci. Ową przyczynę inną stanowiłoby to, że podobna odprawa byłaby uwolnieniem pracownika od jego służby obowiązkowej. Przy obecnym porządku przemysłowym, kiedy człowiek nie chce pracować na swoje utrzymanie, pozwala mu się odejść, a następnie wyzbrywać je albo zdobywać kradzieżą. Za nacyjonalizmu postępowanoby całkiem inaczej. Człowieka, któryby, pomimo swych uzdolnień, stale nie chciał pracować, nie puszczanoby, tak jak dzisiaj, na rabunek społeczności, ale zmuszonoby do pracy w zakładach i przy obostrzeniach, umyślnie przygotowanych na taki wypadek. Dzisiaj włóczęga w wielu objawach niesprawiedliwości społeczeństwa może znaleźć piękną obronę swego próżnowania; wówczas byłby on pozbawionym wszelkich wymówek i, zniewolony przyznać się do godności rabusia i pasorzyta, byłby należytego doznał obejścia.

W małej tej rozprawce nie byłoby chyba rzeczą właściwą szczegółowo mówić o karach za lenistwo, niesłuchanie rozkazów, zaniedbanie obowiązku, oraz inne pomniejsze wykroczenia przeciwko karności, ale dość będzie, gdy wyobrazimy sobie, że winowajców, oprócz utraty wyższych stanowisk, oraz ich przywilejów, spotykać, nadto, będzie czasowe powiększenie godzin pracy albo też praca cięższa.

Czyż można wątpić, że taki układ kar byłby o wiele skuteczniejszym na zaniedbanie obowiązków służby przemysłowej, niżli są np. dzisiejsze kary pieniężne wobec pomniejszych wykroczeń przeciwko społeczeństwu.

Co do tego, kto będzie sądził sprawy o lenistwo pracowników lub zaniedbanie obowiązku, to niewątpliwie będą o tem, na podstawie dowodów, orzekać istniejące na taki wypadek sądy. Zdaje mi się, że dostrzegane tu przez p. Laveleye'a trudności nie są istotnymi.

W drugim swym artykule opuszcza autor stanowisko dawniejsze, nie rozwodzi się już nad niedostatecznością środków przymusu i karności nacyjonalizmu, lecz natomiast ostro napada na surowość nadmierną i żelazną sztywność, jaka znamionować ma ustroj, przeze mnie opisywany. Mówiąc o tem, zaznacza on, że „galery będą prawdopodobnie osią nowego ustroju.“ Co prawda, w pewnym rozumieniu rzeczy, galery jako *ultima ratio* prawa, stanowią oś wszelkiego społeczeństwa. Gdyby tak było w nowym, wówczas można byłoby jedynie po-

— Czy te 20 tys. fr. będą przyręczone przed notaryjuszem?

Pan d'Hubières odparł:

— Rozumie się... Zaraz jutro...

Gospodyni zamyśliła się i rzekła po niejkiej chwili:

— Sto fr. miesięcznie za to, że nam państwo weźmiecie malego, to za mało... taki dzieciak chodziłby do roboty za kilka lat. Dajcie 120 fr.

Pani d'Hubières, która nie mogła ustać w miejscu z niecierpliwości, zgodziła się odrazu i chcąc natychmiast porwać dziecko, dała jeszcze 100 fr. rodzicom, podczas kiedy mąż jej spisywał umowę. Mer i jeden z sąsiadów, których zaraz wezwano, chętnie służyli za świadków.

Młoda kobieta rozradowana czempredzej wybiegła z wrzeszczącym malcem, tak, jak się wybiega ze sklepu z cackiem upragnionem.

Tuvache'owie, stojąc w progu swej chaty, przyglądali się, gdy chłopak odjeżdżał; milczący, surowi, żałując może swej odmowy.

O Jasiu Vallin nie było nic słyhać. Rodzice chodzili co miesiąc do notaryjusza po swoje 120 fr. i gniewali się z sąsiadami, bo matka Tuvache zameczła ich obelgami, powtarzając wciąż ze swego progu, że tylko wyrodek sprzedaje własne dziecko; że trzeba na to być bezecnym, plugawym, zepsutym do szpiku kości...

Niekiedy, żeby im dokuczyć, brała na ręce swego Karolka, i, jak gdyby ją rozumiał, krzyczała:

— Ja nie sprzedalam cię, mój maluski; nie, nie sprzedalam... Ja nie sprzedaję swoich

wiedzieć, że pod tym względem jest ono rażąco podobnem do dzisiejszego. Istnieje [wszakże bardzo widoczny i przekonywający powód do mniemania, że w społeczności przyszłej zdanie ogółu znakomicie ułatwi pracę galerom — przynajmniej w tem, co dotyczy karania ludzi, unikających albo lekceważących obowiązki pracy przemysłowej. Awanturnik, żyjący własnym „przemysłem“ dzisiaj i rabujący pracę uczciwą, bywa bohaterem pomiędzy swoimi i dopóki unika jawnego pogwałcenia prawa, cierpianym jest przez społeczeństwo. Po namyśle, zresztą, każdy przyznać musi, że ten, co nie pracuje, żywi się kosztem tych, co pracują; ale stosunki wytwarzania do podziału są tak zawile i dowolne w porządku obecnym, że twierdzenie owo bywa prawdziwem tylko w ogólności, lecz nie w zastosowaniach poszczególnych. Natomiast w wypadku kooperacji narodowej położenie rzeczy stałoby się całkiem wyraźne. Jak już powiedziano, człowiek zdolny do pracy, lecz usiłujący wymknąć się obowiązkowi uczestniczenia w ogólnym wytwarzaniu z którego jednak żyje, byłby uważany za złodzieja, okradającego kieszenie wszystkich. Nie byłoby już wówczas ani klasy, ani sekty, ani kliki, w oczach której podobny jegomość uchodziłby za bohatera lub za coś innego, jak tylko za oszusta i cygana, za wspólnego wroga wszystkich. Zdaje mi się, iż przypuszczając, że galery będą miały w nowym ustroju zbyt wiele do roboty, p. de Laveleye ten względ pominął.

Wszak nawet dzisiaj, w lepszych częściach Stanów Zjednoczonych, a sądzę że i w krajach innych, człowiek, nie mający stałego zajęcia pomimo właściwego wieku, bywa, w zwykłych warunkach, przedmiotem takiej pogardy, że musiałby chyba odznaczyć się wielką gruboskórnością, aby znajdować przyjemność w swem próżnowaniu. O ileż bardziej musiałoby to być prawdą, gdyby, tak jak w ustroju kooperacji narodowej, człowiek zaniedbujący swoją pracę uznawanym był za brzemień dla kraju i dla wszystkich sąsiadów?

Powiedzieliśmy już chyba dość, aby wykazać, że karna i przymusowa strona, pazury i zęby naszego porządku, byłyby prawdopodobnie dość silne w razie potrzeby. Ale obok niezbędności zaopatrzenia społeczeństwa wśródki łatwego dozoru nieuczciwych i opornych pierwiastków, znajdujących się we wszelkiej społeczności, o wiele ważniejszą jest sprawa bodźca dla owej większości, która gotową jest i chętną do pełnienia powinności swej

dzieci. Nie jestem bogata, ale nie sprzedaję swoich dzieci.

I długie, długie lata ponawiało się to codziennie; grubijańskie przecinki rozlegały się na progu, żeby je posłyszano w chacie sąsiedniej. W końcu przyszło do tego, że matka Tuvache miała się za wyższą od całej okolicy, z powodu, że nie sprzedawała Karolka. Ludzie, wspominając o niej, mieli zwyczaj mówić:

— Trzeba przyznać, że to była wielka pokusa... ale postąpiła, jak dobra matka...

Jedni drugim opowiadali o niej; a Karolek, który już miał blisko 18 lat, wzrosły w tem wyobrażeniu, co mu się wciąż obijało o uszy, uważał się także za wyższego od swych towarzyszy, dlatego, że go nie sprzedano.

Vallin'om wiodło się dobrze, dzięki pobieranej zapomocy i to właśnie podtrzymywało wściekłość Tuvache'ów, którzy nie wydobyli się z nędzy.

Ich najstarszy syn poszedł do wojska, drugi umarł, Karolek sam jeden więc pracował ze starszym ojcem, żeby wyżywić matkę i dwie siostry młodsze.

Miał on już około 21 lat, kiedy pewnego ranka świetny ekwipaż stanął przed dwiema chatami. Młody mężczyzna, przy złotym łańcuszku od zegarka, wyskoczył z niego i pomógł wysiąść damie w podeszłym wieku, z siwymi włosami. Pani ta rzekła:

— Tam, moje dziecko, w tem drugim domostwie.

w razie słusznego jakiegoś wynagrodzenia. Otóż, jeżeli nacyjonalizm zrobi więcej, niż jakikolwiek bądź dotychczasowy ustroj, dla sprawy zmuszenia próżniaków, aby przynajmniej utrzymali siebie samych, to z drugiej strony pamiętajmy, że żaden system nie osiągnie zbyt wielkich korzyści z pracowników niechętnych. Żaden przymus, gdyby nawet był możliwym, nie zastąpi gorliwości i ambicyi pracownika; to też, jeżeli dany ustroj nie potrafi dodać bodźca pilności dobrowolnej, nie wiele warte będzie to, iż zapobieży on upartemu lenistwu. Jaką też zachętę obiecuje nacyjonalizm dla nakłonienia pracowników pilnych do roboty możliwie najlepszej — przypuszczając, iż wszyscy, byle tylko nie zbyt leniwi pracownicy zachowują się podobnie?

To znaczy, przypuszczając, że zupełne lenistwo skutecznie zostanie powściągniętem, w jaki sposób będzie podniecaną gorliwość w służbie? Bez tego bowiem nie może być ani zdrowej, ani bogatej społeczności przemysłowej. P. de Laveleye powiada w tym razie: „Kiedy wynagrodzenie pozostaje w stosunku prostym do wykonanej roboty, wówczas pilność i czynność znajdują zachętę, gdy tymczasem zapłata równa jest nagrodą lenistwa“. „Ale, odpowie nam mr. Bellamy, honor sam w sobie jest zapłatą wystarczającą, gdyż ludzie poświęcają dłań wszystko, nawet życie.“ Prawdą jest jaknajzupełniejszą, że honor bywał źródłem najbardziej szczytnych postępów i czynów bohater-skich, budzących powszechny podziw, ale nigdy nie może on stać się siłą pobudzającą w pracy albo też główną dźwignią przemysłu. Nie pokona on popędów samolubnych, nie przezwycięży wrodzonej odrady do pewnych rodzajów pracy, albo też niesmaku wobec nużącej jednostajności zajęć codziennych. Może on stworzyć bohatera, ale nie pracownika“.

Tutaj muszę poprosić o prawo jaknajzupełniejszego niezgodzenia się z p. Laveley'em. Honor tworzy zarówno pracowników, jak i bohaterów, i w obu wypadkach jest czynnikiem równie zasadniczym. Jest to sprawą powszechnego doświadczenia. Każdy mężczyzna lub kobieta, czytając te słowa, może wyrokować pomiędzy mną a Laveley'em. Na wyroku tym gotów byłbym oprzeć całą sprawę nacyjonalizmu i odwołać się do społeczności. Wiem, że, w Ameryce przynajmniej, pracownik, wypełniający bez uczucia honoru swoje obowiązki, nie wart jest zapłaty; nie rychłobym też

I wszedł, jakby do własnego mieszkania, do lepianki Vallin'ów.

Stara matka prała sobie fartuchy, zniedołężniały ojciec drzemał przy kominie. Oboje podnieśli głowy, a młodzieniec rzekł:

— Jak się macie, ojcze; jak się macie, matko! Zerwali się, pomieszani. Chłopka ze wrzucenia upuściła mydło w wodę i bełkotała.

— Czy to ty, moje dziecko? Czy to ty, moje dziecko?

Wziął ją w ramiona i ścisnął, powtarzając:

— Jak się macie, matko!

Stary, drząc cały, swym zwykłym, spokojnym głosem powiedział:

— Powróciłeś, Jasiu? — jak gdyby go widział przed miesiącem.

Gdy się poznali już nawzajem, rodzice wyszli z nim zaraz na wieś, żeby go pokazać. Zaprowadzili go do mera, do adjunkta, do plebana, do nauczyciela.

Karolek, stojąc w progu swej chaty, przyglądał mu się, gdy przechodził.

Przy wieczerzy rzekł on do starych:

— Musieliście być chyba obrani z rozumu, kiedyście pozwolili wziąć małego Vallin'ów.

Matka odpowiedziała z uporem:

— Nie chcieliśmy sprzedać swego dziecka.

Ojciec nie mówił nic, a syn odezwał się znowu:

— Nie jesteście to nieszczęście być tak poświęconym?

Wtedy ojciec Tuvache wyrzekł gniewnie:

uwierzył, że inaczej dzieje się w Anglii. P. de Laveleye tak dalece nie ma słuszności pod tym względem, że o ile tylko wykonywana bywa jakaś dobra i uczciwa robota w tym najgorszym z systematów przemysłowych, to staje się tak dlatego, iż poczucie honoru, szybko znikające ze świata handlowego i finansowego, błąka się jeszcze w pracownikach.

Z pomiędzy bodźców, które w porządku nacyjonalistycznym podniecać będą pilność pracowników lepszych, można wymienić tutaj trzy rodzaje. Naprzód poczucie honorowej i moralnej powinności wykonywania obowiązków, poczucie, które — jak oczekiwać wolno — znakomicie rozwinie się pod wpływem ustroju, opartego w stopniu największym na sprawiedliwości powszechnej i wolnej grze wszelkich uzdolnień. Powtóre, miłość pochwał, żądza dobrej opinii i podziwu ze strony współtowarzyszy swoich i współtowarzyszek. Uczucie to niewątpliwie było po wszystkie wieki i u wszystkich ludów, najpotężniejszą ostatecznie, najstalszą i najbardziej powszechną z pobudek ludzkich, jest ono dzisiaj i było zawsze najgłębszą pobudką większej części owej gorliwości w interesach i przemyśle, jaką spostrzegacze powierzchowni przypisują zamiłowaniu pieniędzy. Za nacyjonalizmu, kiedy pilność stanie się służbą publiczną, nie zaś tylko obsługiwaniem samego siebie, jak dzisiaj, pochwała społeczności towarzyszyć jej będzie i wieńczyć ją, jak nigdy przedtem. Nawet obecnie człowiek biegły w interesach i zdolny robotnik bywa ją przedmiotem podziwu, jakkolwiek czynią oni dobrze tylko dla siebie. O ileż więc silniejszym, gołętszym i bardziej zachęcającym byłby podziw przy nacyjonalizmie, kiedy na zdolnego kierownika albo na rzemieślnika biegłego spoglądać się będzie, jak na bezpośrednich dobroczyńców ich współobywateli.

(D. c. n.)

Emigracja amerykańska

w literaturze ludowej.

Gdyby w każdej poważnej sprawie, dotyczącej zarówno ludu, jak i całego ogółu, nasza pisząca inteligencja dostarczała ludowi tyle książek, co

— Może będziesz nam wyrzucał, żeśmy cię zatrzymali przy sobie?

Na to chłopak opryskliwie:

— Tak, wyrzucam wam to, żeście byli niedołączkami. Tacy rodzice, jak wy, są nieszczęściem dla dzieci. Warci jesteście, żeby wam porzucił.

Kobiecina płakała nad talerzem, i przelękając łyżki zupy, której wylewała połowę, utyskiwała:

— Morduje się tu, żeby wychować dzieci!...

— Wolałbym wcale nie przychodzić na świat, aniżeli być tem, czem jestem. Kiedym dziś zobaczył tamtego, krew we mnie zawrzała. Powiedziałem sobie: Oto takim byłbym teraz.

Podniósł się.

— Słuchajcie, czuję, że lepiej zrobię, jeśli tu nie zostanę dłużej, bo wyrzuciłbym wam to od rana do nocy i zamęczyłbym was; widzicie, ja wam tego nigdy nie wybaczę!

Starzy milczeli, zgnębieni, załzawieni.

On rzekł znowu:

— Nie, za ciężko byłoby żyć z tą myślą. Woleę poszukać gdzieindziej chleba.

Otworzył drzwi. Z sąsiedniej chaty doszły głosy. To Vallin'owie biesiadowali z odzyskanym dziecięciem.

Wtedy Karolek uderzył nogą o ziemię, i obracając się do rodziców wykrzyknął:

— Ciemne chłopstwo!

Poczem znikł w pomroce nocnej.

w sprawie emigracji, wtedy moglibyśmy prawdziwie szczerze się przynajmniej ilościowym bogactwem naszej literatury ludowej. Istotnie, skoro tylko ruch wychodźczy zaczął trapić nasze społeczeństwo, we wszystkich jego zakątkach pojawiły się wnet broszurki, w taki lub inny sposób powstrzymujące od emigracji. Pomiedzy autorami ich spotykamy ludzi różnych: zarówno dygnitarzy pióra, jak i prostych pionków, zarówno świadomych rzeczy, jak i takich, co na wiarę powtarzali cudze błędy, lub wymyślali je sami.

Nie posiadam obecnie całego materiału broszur, pisanych dla ludu w sprawie wychodźstwa; na podstawie jednak tych dwunastu, jakie udało mi się zebrać lub poznać, postaram się o scharakteryzowanie tego antidotum emigracyjnego, jakie inteligencja starała się podać ludowi.

Wszystkie te książeczki dają się podzielić pod dwie grupy: powiastki, o zakresie mniej więcej moralno-lirycznym, i broszurki pouczające, których celem jest odstraszenie czytelnika, za pomocą faktów, zaczerpniętych z doli emigrantów.

Zacniemy od pierwszych, pomijając tylko Emigrację chłopską — Anczyca, która do ludu bardzo mało gdzie doszła, i Sienkiewiczowskie „Za chlebem”, drukowane w skróceniu w Zorzy. Obydwa te utwory, jakkolwiek nie pisane dla ludu, posiadają wiele zalet, czyniących je wysoce pożądanymi, jako książki anty-emigracyjne. Szczególniej powiedzieć to należy o „Za chlebem”, które siłą uczucia, ogromem nieszczęść i tryskającą zewsząd prawdą, możliwą do oddania tylko temu, kto własnymi oczyma dół emigranta oglądał, — zrobić może silne wrażenie na czytelniku.

Pod tym względem znacznie niżej stoi obrazek melodramatyczny Anczyca, gdzie obok miejsc niestychanie pięknych i silnych, jak np. wigilija w Ameryce, znajdują się obrazy jaskrawe, nieprawdziwe, zakrawające na bajkę.

Ciekawem jest, że wogóle książeczki dawniejsze, z przed laty ośmiu, dziesięciu, gdy emigracja zaczęła dopiero kielkować, odznaczają się jakimś mało poważnym nastojem. Widocznie samą sprawę traktowano lekko, sądząc, że byle bajka, byle zstraszenie odejmię chłopu ochotę do niebezpiecznej wędrówki za morze. Nie ulega wątpliwości, że lud nasz, nie kształcony, nie rozwijany, jest niesłychanie naiwnym. Tem tylko daje się tłumaczyć łatwość obalamucania go przez agentów, ślepa do niedawna wiara, że tam gdzie za morzem znalazła się królowa angielska, to znów papież, pragnący wyrwać go z dokuczającej mu biedy i niedoli. Ale z drugiej strony, jeżeli ten i ów z emigrantów chętnie daje posłuch miłym sobie wieściom o czekających nań w Ameryce bogactwach i szczęściu, to napewno ten sam emigrant rzuci z gniewem książkę, starającą się przerazić go innymi bajkami.

Taką jest między innymi „Zabawna historia, jak Grzele w Ameryce wykarął i jaki był jego koniec smutny”, wydana w Poznaniu w roku 1883. Rzecz napisana wierszem:

Grzela dostał mankolii
I rzekł sobie w duszy:
Już tych perek i kapusty
Mam po same uszy!

Pójdę ja do Ameryki,
Gdzie się szperką żyje,
A mięsisko dają codzień,
Aż się człeku przyje.

I nie spotkasz tam ziandara
Ni egzekutora,
I nie wezmą cię w rekruty,
Gdy się żenić pora.

Siadł w Hamburgu na okręt i pojechał. Że zaś ludzi było jak śledzi, kapitan „wybrał Grzele i trzydziestu z polskiego narodu i wyrzucił jak psy kazał do morskigo chłodu; tylko że na linie każdy mocno przywiązany: okręt ciągnie ich za sobą przez morskigo bałwany.”

Niemcy wyśmiewają się z nich, rzucają im ochłapy, dają wylizywać talerze... Po drodze wiewloryb połknął Grzele, ale go wypłuł... Wreszcie stanęli w Ameryce. Grzela dostał się na służbę do króla murzyńskiego, gdzie musiał służyć za pastucha małej trzody, i królowi codziennie szuwaksem skórę czyścić... Gdy jednak „w dowód łaski za usługi król wydał orędzie, że wesele Grzeli z mał-

pą wkrótce się odbędzie”, chłopak drapnął w czasie bitwy z rudoskórymi Indianami. I tak dalej, i t. d. Grzela wreszcie ucieka z Ameryki, zabrany litościwie przez Niemców, ale pod warunkiem, że płynąć będzie z powrotem „w polskiej kajucie” t. j. na linie za okrętem. Zerwała się burza i Grzela zginął.

Tak więc tedy Ameryka wykarąła Grzele,
Jednak głupich, co tam idą, jest jeszcze za wiele.

Jako historia zabawna, do pośmiania się, książeczka ta mogłaby mieć racyję bytu, gdyby za przedmiot obrała sobie sprawę mniej poważną, mniej bolącą. Jako broszurka agitacyjna, jest zupełnie bezsensowną i szkodliwą.

Do powiastek, pisanych przed paru laty, gdy o „Bryzoli” nie było jeszcze słyhać, a emigracja sporadyczna kierowała się do Stanów Zjednoczonych, należy: „Do Ameryki po złoto” — M. Mizery. I na tej książeczce odbija się wyraźnie pewna potrzeba doraźna. Autor, pisząc w chwili, gdy emigracja nie była jeszcze groźną, stara się przy niej poruszyć wiele spraw ubocznych, czem osłabia znaczenie książki. Opowiedzianą tu jest dola zamożnego gospodarza z Rypińskiego, który za namową żyda faktora wdaje się z przemysłnikami okowity, traci na tem część majątku, a z resztą groza wyjeżdża z rodziną do Ameryki północnej. Przejazd przez Niemcy następuje autorowi sposobność do porównań naszego gospodarstwa z niemieckiem; pobyt na okęcie włościan z Galicyi i Poznańskiego pozwala na kilka trafnych a pouczających zestawień. Treścią powiastka nie wychodzi po za zwykłe efekty: burza na morzu, zatonięcie okrętu z żoną i dziećmi emigranta, bieda, głód, wyzysk żydowski i niemiecki; wreszcie, — po osiedleniu się już na gospodarstwie, napad dzikich Indian, spalenie osady i rozpaczliwy powrót zbiedzzonego wychodźcy do domu. Pomimo jednak, że efekty są grube, książeczka czytana być może z pożytkiem.

Jeśli celem powiastki poprzedniej było odstraszenie od emigracji ludzi zamożniejszych, powiedzialbym karyjerowiczów, szukających łatwego zubożenia się, to celem książeczki p. Turczyńskiego: „U nas a w Brazylii” jest wykazanie, że nawet zupełnym biedakom łatwiej dobić się znośnego bytu w kraju, niż znaleźć szczęście za morzem. Jest wszakże jeden bardzo a bardzo słaby punkt w opowiadaniu p. T. Oto do wydobywania się z niedoli trzeba skutecznej pomocy takich uczciwych a wyznaczonych ludzi, jak młynarz Ramięcki, który wspanała całą wieś biedaków ziarnem, inwentarzem i pieniędzmi.. To sposób żaden, bo wyjątkowy. Wielkiej, jęczącej się rany nie da się wyleczyć małym plasterkiem... Prócz tego w samym liście z Ameryki, stanowiącym główną wagę opowiadania, jest sporo przesady, którą chłop łatwo spostrzeże, a wtedy utracić może wiarę w całą opowieść. Tak między innymi podano, że z 900 ludzi, którzy wsiedli w Bremen na okręt, zmarło w drodze 400!! Tymczasem z listów emigrantów, z opowiadań p. Dygasińskiego i innych wiadomo, że wypadki śmierci na okręcie były wogóle b. rzadkie.

Podobną z treści do broszurek poprzednich jest powiastka p. Grajnera: „Do Brazylii po dyjamenty”. I tutaj chłop wędruje do Ameryki dzięki namowom oszustów żydowskich i niemieckich; tam spotyka go zawód zupełny, traci syna i zrozpaczony powraca z resztą rodziny do kraju, gdzie żyć musi z ciężkiej pracy. Powiastka wrażenia silniejszego nie robi; ale dzięki wstępowi, wyjaśniającemu prawdziwą przyczynę łaskawości rządu brazylijskiego, dzięki wreszcie rozsianym gdzieś wiadomościom o przyrodzie brazylijskiej, może być czytana nie bez pewnej korzyści.

Wreszcie w szeregu powiastek pojawi się wkrótce utwór ludowy p. Dygasińskiego, który miałem przyjemność poznać dopiero w rękopisie, a więc pisać o nim bliżej nie mam prawa.

Przejdźmy z kolei do broszurek informacyjnych. Znam ich pięć: *Czy jechać do Brazylii?* Dygasińskiego, *Brazylija* — nakład Jasińskiego, *Listy z Brazylii*, pisane przez wychodźców — zebrane przez A. Potockiego, *W Brazylii i Argentynie* — Nesterowicza i *Brazylija, jej przyroda i mieszkańcy* — P. Sosnowski.

O małej broszurce p. Dygasińskiego, pomimo jej żywej lirycznej treści — nie ma co mówić, gdyż wydana została przez *Kuryjer Warszawski*

w postaci obrzydliwego świstka w tak małej widocznie liczbie egzemplarzy, że nigdzie się jej nie spotyka, a więc i znaczenia żadnego mieć nie mogła.

W Brazylii — Nesterowicza jest przedrukiem feljetonów Kurjera Codziennego, pisanych nie dla ludu. Jednak inteligentny czytelnik z ludu znajdzie tam sporo szczegółów faktycznych, rzucających pewne światło na stosunki emigracyjne. Mówimy — pewne, gdyż w broszurce tej są znaczne luki, jakich p. N. nie będąc przygotowanym do roli kierownika opinii społeczeństwa, wypełnić nie mógł. Tak między innymi próżno szukalibyśmy tam wiadomości o tych kolonjach rolniczych polskich, czy obcych, jakie oddawna istnieją w Ameryce południowej i jakoś żyją. Oczywiście, że dla naszego wychodźcy-rolnika najważniejszym byłoby dowiedzenie się, jakimi są warunki bytu rolnika samodzielnego, czy może on tam wyżyć i dół swoją poprawić.

Listy z Brazylii — A. Potockiego i *Brazylija* — wyd. Jasińskiego, są do siebie dość podobne z treści. I p. Potocki i niewiadomy autor *Brazylii* oparli się na drukowanych w pismach, a pisanych przez emigrantów listach, do których powplatali nieco własnych uwag. Broszurka p. Potockiego jest jednak znacznie pełniejszą, zawiera 12 listów z Brazylii i tyleż wiadomości o losie wychodźców, którzy powrócili do kraju. Prócz krótkiego wstępu, wyjaśniającego przyczyny i mechanizm „naganiania”, książeczka jest ściśle obiektywną i stara się podzielać faktami.

To samo powiedzieć można o książeczce p. t. *Brazylija* — niewiadomego autora, której jednak bardzo niefortunnym dodatkiem jest rysunek nagiego murzyna, któremu do stóp kłania się chłop polski. Język też w wielu miejscach niepoprawny, a końcowy frazes o pracy, zapobiegliwości i oszczędności, jako jedynych lekarstwach na biedę, mogłoby już przestać kołatać się po książkach ludowych.

O książeczce p. Sosnowskiego pisać bliżej nie możemy, gdyż jeszcze nie wyszła z druku. Będzie to pisana przez specjalistę pogadanka etnograficzno-geograficzna, starająca się obiektywnie wyświecić, o ile Brazylija z jej przyrodą i urządzeniami społecznymi przedstawia warunki odpowiednie dla osiedlenia się naszego chłopu.

W sprawozdaniu tem niepodobna pominąć pracy, jaką przez cały rok trwania emigracji, podejmowały nasze dwa pisma ludowe: *Gazeta świąteczna* i *Zorza*. Spotykaliśmy tam nieustannie wyjątki z listów, bieżące wiadomości o losie wychodźców i artykuły, odmawiające od emigracji. *Zorza* przedrukowała nawet w skróceniu „Za chlebem” — Sienkiewiczza, co należy jej poczytać za prawdziwą zasługę.

K. Bystrzycki.

NOWE POWIEŚCI.

Zagony napisał S. M. Roguski (Es-em-er.).

Na gołoledzi — powieść — napisał A. Lewandowski.

Na przekór wywlekanej od czasu do czasu z rypieci teorii o „sztuce dla sztuki”, oraz na rozdrażnienie komentatorów jej, którzy „piękno” widzą li tylko w t. zw. formie — powieść nie tylko nie pozbywa się tendencji, lecz zdaje się z niej jedynie czerpać ducha swego odrodzenia i współczesnego rozwoju. Prawdopodobnie upłynie jeszcze sporo czasu zanim nowo-sformułowane pojęcia piękna, artyzmu i zakresu sztuki pogodzą się ze szczupłym inwentarzem zmysłów przysięgło-krytycznych. Tymczasem jednak faktyczni twórcy tych pojęć t. j. myślący ogół i pisarze odczuli już „piękno” tak dobrze w tragedji społecznej, w walce przekonań, jak np. w łamaniu się światła i cieniu, w nadrannym brzasku. W te nowe, a właściwie przez mistrzów ludzkości nigdy nie opuszczane dziedziny, zstąpili zarówno Prusy i Orzeszkowe, jak Es-em-ery.

Jednym z epizodów walki polaków z niemcami jest powieść p. Roguskiego „Zagony”. Rozwija się ona na tle stosunków przemysłowych. Z jednej strony występują dwa pokolenia polaków — posiadaczy, z drugiej dwa również zdobywców-niem-

ców. Rzecz dzieje się w osadzie Zwienca, gdzie stary szlachcic Rolbiecki do spółki z kolonistą Hermanem Wunder'em rozpoczął przed laty przedsiębiorstwo węglane. Interes się rozwinął—ponieważ zaś rodacy kapitałów w takie czarne przedsiębiorstwo pakować nie chcieli, więc zaszła potrzeba nowego współnika—stał się oczywiście von Stanner. Powieść się zaczyna w chwili, kiedy starzy—szlachcic i kolonista—już roli czynnej w gospodarce nie mają; występują na ich miejsce młody Artur Rolbiecki, Stanner (już baron) i syn Wundera—Henryk, człowiek zbratany z krajem. Artur należy do tej pół-sfery naszych czasów, która powstała z mieszaniny narowów dawnej szlacheckiej i płasko-pługawych instynktów burżuazyj; do tej sfery, która płodzi „nie wypada“, „długi i... „porządnych ludzi“.

Z za Artura wyziera postać jego syna zupełnie już skretynizowanego zdechłaka Wiktora i panny Janiny, która poszła po dziadku i jest hożą i miłą panną na wydaniu. Na tle dymnego Zwienca taki różowy nosek musi zawadzić o męskie serce—i dla tego pannę Janinę pokochali zarówno von Stanner, jak i Henryk. Przy czym von Stanner nie przestaje jednak wyzuwać powoli z mienia swego współnika—ojca ukochanej, a Henryk, jako „zbratany z krajem“, w miłości czerpie siły na niedość.

Zresztą, mimo iż panna Janina mu „sprzyja“ (jest to uczucie pełniące obowiązki miłości u panny na wydaniu), pomimo, że stary Rolbiecki pragnie go na męża dla wnuczki—pan Artur odsadza parweniusza i Henryk do reszty traci głowę. Ucieka gdzieś za granicę w towarzystwie powabnej a łaskawej mężatki. Jednocześnie von Stanner oplątuje pana Artura całkowicie i doprowadza go prawie do ruiny. Autor na miejsce szablonowej bajki o żelaznej wytrzymałości Niemców podstawił sprężynę prawdziwszą i w ten sposób nadał więcej życia powieści: Von Stanner, w „Zagonach“ nie tylko jest prusakiem, ale jeszcze konsekwentnym kapitalistą. Nie wiem zresztą, czy to miał na myśli p. Roguski, dość że baron działa nie tyle „woją a pracą“ ile... wytrychami. Zdaje mi się, iż można tak nazwać tę metodę „koncentrowania kapitału“ która wydaje dziś tak skuteczne owoce. Pan Artur znowu jest takim przemysłowcem, jak jego „starzy“ bywają politykami w enkierniach. Ztąd w chwili, kiedy mu się zdaje, że zgubi Stannera—sam staje nad brzegiem rdyny.

Jest zresztą moment, kiedy von Stanner chce się unieść wspaniałomyślnością i obedrzyć szlachcica w mniej bolesny sposób: podoba mu się panna i gotów iść z nią do ślubu. Ale tu znowu występuje stary Rolbiecki i odsadza łotra-barona, jak Artur odsadził parweniusza. Von Stanner wówczas zaciąga petlę i Rolbieccy już giną.

W powieści jest naturalnie dużo drugorzędnych scen i postaci które przebiegowi całej sprawy dodają kolorów. My poprzestajemy na rysach głównych. Otóż wtedy dopiero, kiedy bankructwo jest nieuniknione, zjawia się Henryk. Nie trudno zrozumieć, że pan Artur uszanuje tym razem w Niemcu człowieka i t. d.

Henryk z energią, (która jest w mazgaju niespodzianką zgotowaną przez autora) zabiera się do pracy. Stary kolonista pomaga mu w zapasach; bardzo prawdziwym jest tu epizod, kiedy on, Herman Wunder, zjawia się u barona von Stannera i wypowiada mu wojnę; przypominają dwóch wilków—oswojonego i dzikiego.

I możeby panna na wydaniu wyszła na dobrą gospodynię, gdyby nie... wytrychy.

Von Stanner umie się bronić: w kopalniach od dawna panowały nieporządki; na które on sam wskazywał urzędowi; nie więc dziwnego, że pewnego poranku winda, jadąca z panem Henrykiem, zerwała się, gruchocząc jego i kilku robotników...

Na tym krwawem, ponurem światku, padającym na jeden z t. zw. wypadków fabrycznych kończy się powieść.

Rolbieccy są zgruchotani, jak ich niedoszły projekt i robotnicy, a obraz rozbitych na dnie szachty szczątków jest jakby symbolem losów gniazda szlacheckiego. Trzeba przyznać, że tak pojęte „zagony“ mieszczą w sobie dużo prawdy. Nawet to, że autor wziął Niemców na upostaciowanie ich—odpowiada rzeczywistości jaknajwierniej. Bo trudno nie wiedzieć, że „drang nach Osten“ jest jednym z epizodów pogromu szlacheckiej burżuazyj, a u nas zwłaszcza stanowi cechę wyjątkowo charakterystyczną.

Głęboko również udało się autorowi zrozumieć zasadnicze rysy czterech występujących do walki pokoleń: szlagona i kolonisty w pierwszej parze, a pana Artura (jak go inaczej określić?) i barona-kapitalistę—w drugiej.

Taką jest przedza powieści—wykonanie, nie powiem, żeby świetne, ale dość poprawne. Styl dość niedołączny i łapanie się na szablonowe scenki, dla wypełnienia treści. Ztąd, i tylko ztąd, powieść, mimo siły pomysłu i głębszej, społecznej myśli—wrażenia zupełnego piękna nie robi.

A teraz pozwolę sobie jeszcze chwilę zatrzymać się z p. Arturem Lewandowskim. Zdaje mi się, że autor nie jest więcej znany publiczności. Dla tego „Na gołoledzi“ czytałem z zajęciem, pytając, co też przynosi.

Przynosi po 1) nudę, po 2) frazes i po 3) mimowolne zestawienie autora z Arturem Rolbieckim z „Zagonów“.

To ostatnie zresztą li tylko pod względem zblazowania, jakie wykazuje p. L. w opracowaniu i w samym temacie „Na gołoledzi“.

Treścią jej jest naturalnie „stosunek“, taki, dający powód do „zrobienia oka“ w porządnej kawalerskiej kompanii. Zresztą autor obejuje z czytelnikiem nie bez pewnej kokieteryi. Wątek powieści, charakter i sceny są, co prawda, że tak powiem, żadne, ale jest coś! Są to rozmowy bohatera (Alfred-ach!) i bohaterki (Ida-och!). Oto próbka:

„Alfred, wychodząc z domu, spostrzegł Idę siedzącą na ławeczce.

— Czy pozwoli pani usiąść przy sobie? — zagadnął zamyślony. Noc uroczą usposabia do dumań (umhu) i nie chciałbym być niedyskretnym, mącąc obecnością moją myśli, któremi bawisz się pani w tej chwili.

— Proszę pana—odrzekła usuwając się i robiąc tem samem (?) obok siebie miejsce Alfredowi—są chwile (rozumie się!), w których człowiek zupełnie nie myśli, patrzy przed siebie nie widząc, słucha nie słysząc. Teoryja nie znosi pono tego twierdzenia (?), a jednak chwile podobnego zamarcia duchowych i fizycznych funkcji zdarzają się u mnie bardzo często. Obecnie także o niczem nie myślałam.

— Jestto paradoks, ale zarezem dowodzi, że stan pani jest anormalnym“ i t. d.

To się nazywa w warszawskim żargonie rondo—prądo natury i jest także „anormalną“ chociaż nie „paradoksalną“ chwilą w twórczości p. Artura Lewandowskiego.

Zresztą daruje mi czytelnik, że ze względu na kanikułę tak długo się o tem rozpisalem.

A. P. Ordyński.

BEZ OBLUDY.

Lekceważenie obowiązku.—Katastrofa na kolei bydgoskiej.

...W każdym prawie numerze *Kuryjerów* spotykamy się z wiadomością o „karygodnej lekkomyślności“, o „lekceważeniu obowiązku“ przez jakichś Iksów, których nie tylko z odpowiedzialnością karną, ale i z sądem opinii zapoznaćby należało. Oto np. „w jednej z fabryk tutejszych, utrzymującej stałego lekarza, zdarzył się wypadek, że dziecko-dwuletnie jednego z rzemieślników fabrycznych złamało nogę. Wezwany felezer skonał złamaniem i po zastosowaniu pierwszego opatrunku polecił natychmiast zawezwać lekarza. Polecenie to spełniono, ale wezwany nie przybył ani tego samego dnia, ani nawet nazajutrz rano i zjawił się dopiero we 24 godziny po wypadku i to dopiero na piśmienne wezwanie zarządu fabryki. Po obejrzeniu chorego dziecka p. doktor zaopiniował, że złamania niema, co jednak nie uspokoiło rodziców, którzy widząc, że dziecko ma nogę nienormalną, udali się po trzech dniach do lekarza specjalisty, ten zaś oświadczył stanowczo, że noga jest złamaną, oraz że złamanie to wymaga bardzo starannego leczenia. Dziecko więc może uniknąć kalectwa, ale tylko dzięki temu, że, nie dowierając opinii lekarza, traktującego widać bardzo lekko swoje obowiązki, który nie zadał sobie trudu zbadania istotnego stanu rzeczy, rodzice w porę jeszcze zasięgnęli rady i pomocy innych lekarzy“. Bardzo pięknym morałem kończy *Kuryjer* swoje opowiada-

nie, szkoda tylko, że brak miejsca skazuje go na taką zwężłość. Nie tylko nie wiemy: czy i o ile „ironicznie“ mówił lekarz, że noga nie jest złamaną, czy i o ile „serdecznie“ ścisła on rękę tych, którzy wzywają go nie z urzędu, ale, co najważniejsza, nie wiemy jak się ta szlachetna latorośl eskulapa zowie? A jednak, jeżeli wiadomość *Kuryjera* nie ma być tylko plotką, że gdzieś kiedyś, komuś złamała się noga, której ktoś nie zbadał należycie, pozostawiając tę pracę innym kłosiom, jeżeli tak winowajca jak i ogół mają skorzystać z wiadomości, to należało nie ukrywać nazwiska. Pani Weiss jest wprawdzie osobistością o wiele znakomitszą—tybardziej, że dopuściła się występku swego darmo i bez urzędowego wezwania na piśmie, ale nas, którzy możemy potrzebować lekarskiej pomocy, obchodzić musi więcej, czy przypadkiem nogi nasze, płuca lub gardła nie dostaną się w opiekę kogoś takiego, kto za rubla dyfteryt nazwie katarem, za dwa ruble uzna w nim szkarlatynę i dopiero przy trzecim zawiadomi, że mamy do czynienia z niebezpieczeństwem większem, z którego można byłoby wyjść nawet, gdyby się było wezwało kogoś innego.

W położeniu eskulapa, niezbyt dbającego o zdrowie i bezpieczeństwo ogółu, znalazła się teraz kolej pruska. Przed kilku dniami zdarzył się tam wypadek wykojenia pociągu pomiędzy Bydgoszczą a Nakłem. Jak zwykle w takich razach, odpowiedzialność zbiegła szybko po szczebelkach administracyjnej maszyny drogi i usadowiła się na karku droźnika. Ten miał niby ostrzedz pociąg sygnałem o zasypaniu piaskami toru kolejowego, ale, biegnąc, pośliznął się i z spadłszy z planitu, złamał nogę. W taki sposób, odpowiedzialność za nieszczęście rozplynęła się wraz z parą wykojeną lokomotywy; ale domyślny, jakkolwiek zawsze ostrożny *Kuryjer Warszawski* napomyka coś o tem, że złamanie nogi droźnika nie było wcale wypadkiem tak rzeczywistym, jak owo złamanie nóżki dwuletniego dziecka, oraz że zarząd kolei, w przeciwstawieniu do naszego lekarza, jest oczywiście chirurgiem zbyt skwapliwym; dowiadujemy się też, że maszynista, ze względu na szalejącą wówczas burzę, powinien był jechać wolniej, czego nie uczynił. Ztąd wypływa nauka, że przy szczyrych chęciach można szkodzić ogółowi, nie widząc kalectwa w nodze złamanej, oraz dostrzegając złamanie w zdrowej nodze.

Maryan Bohusz.

GŁOSY.

Irritable genus — W sprawie nczniów aptekarskich, — Powrót emigrantów. — Oficjaliści wiejscy. — obrońcy pana Kościelskiego — *Waraz Dn.* o emigracji. — Nowe przepisy.

— (p.) Wiadomo że literaci stanowią „irritable genus“ tym bardziej „irritable“, im są, że tak powiem, mniejszego kalibru. Nie dziwi więc nas wcale, że pan S. Zieliński, o którego artykułku zamieszczonym w *Wiśle* p. t. „Lud Basiewicz“, znalazła się nieprzychylna wzmianka w *Głosie*—uczul się obrażonym. Korzystając z gościnności świeżo otwartego przytułku dla niemowląt i niedołączów literackich—*Ziarna*, obrażony autor napadł z impetem na *Głos* i, zaznaczywszy ni w pięć ni w dziewięć, że jakoby bronimy „zapamiętałe twierdzenia nieistności Boga“ (?) gołosłownie zarzuca nam też „nieznajomość kraju“. „Nieznajomość“ ta na tem polega, iż recenzent wieś Basiówkę, która leży w okolicach Lwowa, pomieścił w Stryjskiem. Ponieważ wsi, nawet tylko wsi z tego lub owego względu „godnych uwagi“, mamy w kraju tysiące nikt, rozumie się, wyliczyć ich i dokładnie wskazać nie może. Znajomość też geografii nie polega bynajmniej na znajomości administracyjnego podziału kraju, co łaskawie każdy geograf np. p. Nałkowski, może redakcyi *Ziarna* i p. Zielińskiemu wytłomaczyć.

Przyznając się do pomyłki drobnej, z obowiązku koleżeńskiej wzajemności zaznaczamy, że w tym samym numerze, w którym opowiada o naszej „pomyłce“, toleruje redakcyja *Ziarna* błąd historyczny. Pierwszemi metropoliami w Polsce miały być jakoby biskupstwa gnieźnieńskie i krakowskie, ufundowane w 966 roku. Otóż, w tym czasie Kraków nie mógł być metropolią polską, bo wcale do Polski nie należał i zdobyty został dopiero przez Bolesława Chrobrego.

P. S. Zieliński zaś wiedzieć powinien, że redakcja *Głosu* pilnie wystrzega się pomyłek. Przed paru laty np. p. Z. przyniósł nam, zapewne z figłów, artykuł o głośnej naówczas kwestyi drogowej w Galicyi, odrazu jednak poznaliśmy, że jest to prawie dosłowna kopia artykułu Iw. Franka, wydrukowanego w kraju.

* * *

— (o). Otrzymujemy list następujący:

Kwestya aptekarska, z powodu obniżenia taksy, weszła obecnie, że tak powiem, w modę, nie od rzeczy więc, sądzę, będzie, gdy poruszę na tem miejscu kwestyę wyzysku pracujących przez właścicieli-aptekarzy. Ze stosunki aptekarskie są złe i że los pracujących w aptekach jest nie do zażdrosi, są to rzeczy wogóle stare, nad którymi ubolewać należy, lecz dziwić się ostatecznie nie ma czemu. Wszelkie stowarzyszenia, jak to: nap. u nas, subjektów, felczerów, kelnerów i t. d. mają przecież na celu, między innymi, łagodzić, o ile można, los swoich członków. Farmaceuci tylko nie mogli się jeszcze do tej pory zdobyć na założenie swego wyłączenie stowarzyszenia, (istniejące bowiem w Warszawie „Towarz. Farm.“ jest właściwie Towarzystwem aptekarzy właścicieli).

Gdy jednakże wyzysk przechodzi już granice normy, sądzę, że nie należy go zbywać milczeniem, ponieważ zaś zaprotestować otwarcie bez narażenia się na utratę miejsca, jak każdemu wiadomo, jest w takich razach niemożliwem, pozostaje więc jedyna droga, a mianowicie poddawanie rażących faktów wyzysku pod pięter opinii publicznej za pomocą prasy, o ile takowa zechce zajmować się podobnemi rzeczami.

W jednej z największych i najcelniejszych aptek warszawskich, położonej w śródmieściu, utrzymującej bardzo liczny personel służbowy i odznaczającej się taniością swych leków, pracujący są żywieni takimi często potrawami, jakich by nie ruszył najlichszy nędzarz, wyrobnik, ba, pies, nawet; mięso bowiem bywa bardzo często, szczególnie latem, cuchnące i z powodu złego odżywiania się wielu pracujących w owej aptece „officina sanitatis“ zapada często na zdrowiu. Pracujący, jako to: pomocnicy i prowizory, pobierający pensyję, mogą przynajmniej żywić się przyzwoicie na swój koszt, uczniowie zaś, którzy stanowią połowę personelu, nie będąc płatnymi, muszą z konieczności zatruwać systematycznie swój organizm rozmaitymi łożami, (pozłotą) i cuchnącem mięsem, które im pod postacią drugich śniadań i kolacyj raczej przysyłać ich pracodawca i dobroczyńca. Pozostaje im chyba ta jedyna pociecha, że „Oleum Palma Christi“ znajduje się zawsze pod ręką i „quantum satis“.

Wyzysk taki i lekceważenie zdrowia pracujących, którzy swoją krwawą pracą, (nieopłacaną nawiasem mówiąc, jak np. uczniowie) podtrzymują dobrobyt właściciela, trwa już w wyżej wymienionej aptece oddawna.

Wiarogodność słów moich mogą poświadczyć wszyscy, którzy mieli sposobność choć czas krótki pracować i żywić się w owej aptece, życie w której stało się wśród farmaceutów przysłowiem.

Właściciel tejsze apteki, wydając swoich ofycjalistów, nie uważa widocznie za obowiązek uprzedzić ich o tem przynajmniej na 2 tygodnie przed wypowiedzeniem miejsca, jak tego wyraźnie wymaga prawo; w taki bowiem sposób postąpił z kasyjerką apteki, którą zupełnie niespodziewanie wydalil 1 Maja r. b., nie zważając na krytyczne położenie kobiety bez miejsca, wyrzuconej, jak to mówią, na bruk. Sprawa ta poszła na drogę sądową.

Takie i temu podobne fakty powinny być dawno poddawane pod sąd opinii publicznej, niech szerszy ogół dowiaduje się o nich. *Puer*.

* * *

(p.) O powrocie emigrantów piszą z Aleksandra do *Kuryjera Porannego*:

Dnia 27 Czerwca wieczornym pociągiem o godz. 8 przybyła partyja emigrantów z Brazylii. Mężczyzn 89, kobiet 43, dzieci od 2 do 10 lat 26, od 10 do 16 lat 14, — Z tych 9 kobiet i 20 dzieci wraca wyłącznie na koszt brazylijskiego rządu, reszta kosztem prywatnym.

Nazajutrz rano nadeszły ich rzeczy, które po uregulowaniu formalności celnych d. 29 rano wydano właścicielom.

Kilka kobiet ciężarnych i chorych ze zmęczenia, zaraz dnia następnego wysłano, przeważnie pochodzących z Warszawy i Rudy Guzowskiej,

Wogóle wracający emigranci okazują zadowolenie z powrotu swego, opowiadają wiele o nędzy, jaka ich spotkała w Brazylii, wskutek nieznajomości języka i straszego klimatu. Głównie zawód jaki ich spotkał, przypisują opowiadaniom agentów o bogactwach brazylijskich.

Przywieźli ze sobą małą i kilka oswojonych papug, na które wygórowane ceny nakładają

Wkrótce oczekiwaną jest druga partyja, złożona z 200 ludzi.

Partyja obecna składa się po większej części z mieszczan, brak wśród nich typu prawdziwego włościanina, który sprzedał cały dobytek i wyjechał szukać szczęścia za górami i morzami.

Ostatnia uwaga o znacznej ilości mieszczan wymaga podkreślenia. Sądząc z listów, w pismach ogłaszanych, najgorzej dzieje się emigrantom z miast, rękodzielnikom, robotnikom i t. d. Jest to fakt powszechny, powtarzający się w całej Ameryce południowej, zarówno w Brazylii, jak i w Argentynie. Należałoby zbadać na miejscu, co zapewne p. Hempel i Siemiradzki uczynią, jaki w przybliżeniu procent pomiędzy wykojejonymi emigrantami stanowią mieszczanie, oraz czy rolnicy, czy też rzemieślnicy łatwiej znajdują zajęcie.

Dodamy tu, że inna partyja wychodźców przybyła wprost do Mławy.

* * *

—(x.) P. Kazimierz Laskowski porusza w *Słowie* sprawę zabezpieczenia bytu ofycjalistów wiejskich w starości lub na wypadek kalectwa. Jest to „odłam liczny, gdyż wynoszący z górą 8000 głów“ (z pewnością więcej, jeżeli rachować leśniczych i t. p.) „Zajęci w warsztatach, których produkcya stanowi podwalinę narodowego bogactwa... postawieni są w warunkach tak okropnych, że niemal zawsze między nieuczciwością lub nędzą wybierać muszą.“ Brak dobrych ofycjalistów, na co skarżą się właściciele ziemscy, zależy głównie od niedostatecznego wynagrodzenia tych pracowników.

P. Laskowski rozsyłał odpowiednio ułożone pytania, na które otrzymał 72 odpowiedzi. Najniższa płaca ekonoma, licząc pensyję wraz z ordynaryją i dodatkami, wynosi 200 rs., najwyższa 700. Przeciętne wynagrodzenie wynosi 150 rs. pensyi, 20 korcy ordynaryi, co z dodatkami czyni 320 rs. O robieniu oszczędności trudno pomyśleć.

Zamiar założenia kasy emerytalnej dla ofycjalistów wiejskich nie doszedł do skutku i niema widoków urzeczywistnienia go w bliższej przyszłości. Wobec tego proponuje p. Laskowski ubezpieczenie ofycjalistów na życie, a raczej zapewnienie im po 25 latach służby określonej sumy, z której 5% równało by się pobieranej obecnie pensyi.

Składki w pierwszym 5 leciu w stosunku 75% opłaca ofycjalista, w stosunku 25% właściciel ziemski, w następnym płacą obaj po 50%, w trzecim pierwszy 25, drugi 75%, wreszcie w czwartym całą składkę wnosi pracodawca. Ofycjalista w żadnym razie nie traci prawa do wynagrodzenia, jeżeli zaś zmienia służbę, lato przebyte nie obowiązują nowego pracodawcy, który płaci *acapite* 25%. Składki od sumy 3000 rs. nie byłyby dla właścicieli zbyt uciążliwe, ale ofycjalistom, zwłaszcza z początku, trudno byłoby zobowiązaniom tym podoleć. W każdym razie projekt p. Laskowskiego ma tę zaletę, że jest bardzo łatwy do wykonania. Czy jednak zostanie wykonany w odpowiednich rozmiarach—to inna sprawa. P. Zdzierski proponował w podobny sposób zabezpieczać byt wogóle robotników i ofycjalistów wiejskich dotychczas jednak, pomimo że emigracya nastraszyła trochę właścicieli ziemskich, nie pomyślano o urzeczywistnieniu praktycznego, a niezmiernie doniosłego pomysłu.

* * *

—(x.) *Słowo* widocznie zamierza bronić niefortunnych występów p. Kościelskiego w sejmie pruskim i parlamencie niemieckim, pisze bowiem:

Niektóre dzienniki nasze powtórzyły za niemieckimi wiadomości o naganie, jaką rzekomo Koło Polskie w sejmie pruskim miało udzielić członkowi pruskiej izby panów, p. Kościelskiemu za jego mowę,

wypowiedzianą z okazji obrad izby panów nad sprawozdaniem komisji kolonizacyjnej. Otóż przedewszystkiem, o ile mowa ta dotyczyła przedmiotu, była ona niewątpliwie najgruntowniejszą z krytyk działalności komisji kolonizacyjnej, wypowiedzianą przez posłów, rozbierając bowiem specjalnie tę działalność ze stanowiska finansowego, na podstawie szczegółowych cyfr wykazywała straty, o jakie komisya przypisania skarb pruski; to zaś punkt najdrażliwszy. Dzienniki niemieckie, donosząc o niezadowoleniu Koła polskiego, dodają, jakoby w tej mowie p. Kościelski zaznaczył, że wszyscy powinni być dobrymi Prusakami i łączyć się w walce przeciwko wspólnemu wrogowi-socyalizmowi.

Wcale nie „rzekomo“, ale rzeczywiście Koło skarciło nawet dla polityków umiarkowanych zbyt wstrętne umizgi urodzonego lokaja. Ubocznie fakt udzielenia nagany stwierdza nawet *Słowo*, dalej bowiem mówi:

Jeżeli Koło istotnie wyraziło panu Kościelskiemu niezadowolenie, mogło się to stać jedynie z powodu jego dosyć surowej krytyki znanego wystąpienia ks. Jażdżewskiego w izbie poselskiej. Krytyka taka w ustach członka tego samego Koła, wygłoszona w sejmie, istotnie jest niezupełnie odpowiednią. Z drugiej strony atoli trudno nie przyznać, że znane wystąpienie ks. Jażdżewskiego w danej chwili było co najmniej w najwyższym stopniu beztaktownem i szkodliwem. Poważna prasa poznańska potępiła je też jednomyślnie.

Nie przeczymy, że krytyka mowy ks. Jażdżewskiego mogła być powodem do udzielenia nagany, chociaż z drugiej strony powinno było Koło ze względów politycznych skarcić też zupełnie nie potrzebne w danym wypadku zaczepianie jedynego stronnictwa, które posłom polskim okazywało życzliwość. Co się zaś tyczy mowy ks. Jażdżewskiego, to potępiły ją te organy prasy, które w lojalizmie pruskim godnie p. Kościelskiego wspierają. Bądź co bądź jednak, ks. Jażdżewski miał obywatelską odwagę popsuć szyki intrygantom, a działając śmiało i szczerze liczył z pewnością nie tylko na poparcie opinii publicznej, ale i pewnego odłamu Koła. P. Kościelski ze swymi sojusznikami pozbyli by się niewątpliwie niemiłego przeciwnika, gdyby mogli, nie mogą zaś, bo wiedzą, że stoi za nim znaczna większość społeczeństwa poznańskiego.

* * *

— „Warszawskij Dniownik“ zamieszcza następujący artykuł:

„W artykułach naszych o ruchu emigracyjnym w kraju tutejszym nazwaliśmy błędnem mniemaniem, utrzymujące się w miejscowym społeczeństwie polskiem, jakoby władze nie tylko nie przedsiębrały żadnych środków dla ukrócenia lub osłabienia ruchu, lecz przeciwnie — popierały go. Postaramy się dowieść faktycznie mylności i bezzasadności takiego mniemania. W początku października roku zeszłego, skoro się tylko wyjaśniło, że ruch emigracyjny wśród ludności kraju tutejszego przybiera poważne rozmiaary, JE Główny Naczelnik kraju zalecił władzom miejscowym przedsięwziąć wszelkie możliwe środki dla wyperswadowania włościanom i robotnikom opuszczenia ojczyzny i dla ukarania osobistości szkodliwych, podżegających ludność do emigracyi. Na organa policyi włożono bezwarunkowy obowiązek śledzenia, czy ktokolwiek z pomiędzy włościan i robotników nie wyprzedaje majątku ruchomego lub nieruchomego i nie przygotowuje się do wyjazdu zagranicę. Powziąwszy wiadomość o podobnym zamiarze, organa policyi ziemskiej obowiązane były donosić o tem swojej zwierzchności, która, o ile to było możliwem, przez wpływy osobiste na lud i perswazyje starała się powstrzymać „emigrantów“ od niekorzystnego dla nich zamiaru i wyjaśnić następstwa samowolnego opuszczenia ojczyzny. Wszystkich włościan i robotników, poruszających się większymi partyjami w kierunku granicy, a zwłaszcza po drogach, prowadzących ku komorom, rogatkom celnym i przykomórkom, polecono zatrzymywać, przeglądać ich świadectwa i badać; jeżeli zaś się okaże, że partyje te mają na celu emigrowanie do Ameryki, to zatrzymywać je i wysyłać do miejsca zamieszkania. Dowiadując się od włościan i robotników o przyczynach pobudzających ich do porzucania ziemi ojczystej, organa policyi obserwacyjnej i wykonawczej starały się dowiedzieć: czy wśród włościan niema osobistości podejrzanych, podmawiających do emigracyi i szukających przytem swoich osobistych korzyści. W miejscowościach, przylegających do granicy, zwrócona została szczególna

wedle możności uwaga na wszystkie osobistości podejrzone, zamieszkałe w trzymilowym pasie granicznym, trudniące się przeprowadzaniem ludzi, nie zaopatrzonych w paszporty, za granicę. Wiele osobistości tej kategorii wydano sposobem administracyjnym z miejscowości nadgranicznych, z zabronieniem im powrotu. Również zwrócono uwagę na osobistości, otrzymujące pocztą z zagranicy grube pakiety, z których zewnętrznego wyglądu można było przypuszczać, że w nich znajdują się „szyfkarty“ i inne papiery, ochrzczone szumnie brzmiącą nazwą „dokumentów emigracyjnych“. Osobistości podejrzone o trudnienie się agenturą emigracyjną, były bezwzględnie pociągane do odpowiedzialności. Władze sądowe szły w tej kwestyi ręką w rękę z administracyjnym i energicznie karały poddawaczy i pomagających do emigracji.

Prokuratorom sądów okręgowych, okręgu izby sądowej warszawskiej polecono skoncentrować wszystkie sprawy o podżeganie do emigracji pod swój bezpośredni dozór, powierzać prowadzenie śledztw tymczasowych sędziom śledczym do spraw szczególnej wagi i przedsięwziąć przeciwko oskarżonym najsurowsze środki zabezpieczenia osobistości, wskazane w art. 419-tym ust. proc. k.; w razie braku dowodów do ukarania sądowego, nie uwalniać oskarżonych z pod strazy bez uprzedniego porozumienia się z gubernatorem; nakoniec zalecono porozumieć się z sądami okręgowymi co do sądenia spraw tego rodzaju, bez przestrzegania kolei porządkowej.

W listopadzie r. z., dzięki takiemu postawieniu kwestyi, pociągnięto do odpowiedzialności karnej za poddawanie do emigracji (w samym tylko okręgu izby sądowej warszawskiej) przeszło 80 osób. Wynikła przytem bardzo poważna kwestya co do sposobu pojmowania art. 328-go ustawy karnej, który opiewa:

„Kto będzie podmawiał jakichkolwiek poddanych Cesarstwa do przesiedlenia się za granicę, ten podlegnie“ i t. d. Artykuł ten po raz pierwszy ukazał się jako nowe postanowienie w projekcie z r. 1848-go i nie ulegał następnie żadnym zmianom, ponieważ tego nie wymagały potrzeby życia społecznego.“

Prokurator izby sądowej, uważając za konieczne podniesienie stopnia kary na winnych, w listopadzie r. z. wystąpił z przedstawieniem do ministra sprawiedliwości o odpowiednie wyjaśnienie art. 327-go ust. karn. Senat rządzący w d. 25-ym stycznia r. b. kwestyję tę rozstrzygnął w ten sposób, iż namawianie do emigracji stanowi samoistne przestępstwo i że należy podciągać pod art. 328-my wszelkie czyni zmierzające do tego, aby poddanego ruskiego skłonić do zabronionej emigracji za granicę.

„Nie ulega wątpliwości, pisze dalej „Warsz. Dn.“ iż wyżej wyluszczone środki ograniczyły w znacznej mierze rozmiary klęski, wywołanej przez gorączkę emigracyjną, objawy której, niestety, ukazują się jeszcze to tu, to owdzie, w wysokim stopniu.

Baczna uwaga władz na kwestyję emigracyjną wyraziła się także w humanitarnych środkach, zastosowanych do ofiar gorączki emigracyjnej. Skoro tylko powzięto wiadomość, że niektórzy mieszkańcy Królestwa Polskiego, którzy samowolnie wydalili się z ojczyzny dla emigrowania do Ameryki, powracając do kraju całymi rodzinami, J. E. Generał-Gubernator warszawski pozwolił przepuszczać ich z za granicy w obręb kraju bez legalnych paszportów, jeżeli przy badaniu co do ich pochodzenia i co do okoliczności wydalenia się nie zrodzi się poważne podejrzenie, że nie mogą oni być uznani za emigrantów do Brazylii. Wyjątek zrobiono tylko dla żydów, których zabroniono przepuszczać z zagranicy bez przepisanych świadectw.“

* * *

-- Przepisy o emigracji, celem zapobieżenia bezprawnemu potajemnemu opuszczaniu kraju, uzupełnione zostały następującymi, przez *Warszawski Dniem*, podanymi szczegółami:

1) Co się tyczy włościan, mających grunty lub ich nieposiadających, wiejskich i fabrycznych robotników i innych miejskich i wiejskich obywateli klasy prostej, to o chęci przesiedlenia się nie należy ogłaszać w organach urzędowych, a żądane świadectwa kwalifikacyjne sporządzać w ciągu 10 dni od chwili otrzymania oznajmienia o przesiedleniu.

2) Dzieci chrześcian wyższej wymienionej kategorii osób uwalniać z poddaństwa nietylko do 15 lat wie-

ku, lecz i do 17 lat, jeżeli nie zachodzą ważne przeskody.

3) Od wszystkich przesiedlających się wymagać deklaracji: czy posiadają w kraju nieruchomości i o najmiej więcej posiadaczom takowych, iż świadectwa emigracyjne udzielane im będą pod warunkiem sprzedaży swej nieruchomości przed opuszczeniem kraju.

4) Nie wymagać od osób, w punkcie 1-ym tych przepisów wyszczególnionych, a przesiedlających się do Ameryki, zaświadczeń o zgodzeniu się rządu zagranicznego na przyjęcie ich w poczet tamtejszych poddanych.

5) Wymagać złożenia od każdego przesiedlającego się pełnoletniego, tytułem wadium, 75 rs. a 50 rs. od niepełnoletniego. Pieniądze te naczelnicy powiatowi wnoszą, jako depozyta składających je, do skarbowych kas miejscowych i wydają następnie przy wręczeniu świadectw emigracyjnych.

6) Doręczenie świadectw emigracyjnych i zwrot złożonych przez emigrujących pieniędzy winny się odbywać w tych urzędach komór celnych, przez które przesiedlający się wyjeżdżają, o czem naczelnicy powiatowi lub inne osoby urzędowe sporządzają odpowiedni protokół.

7) Oznajmić wszystkim starającym się o świadectwa emigracyjne, że jeżeli od czasu otrzymania zezwolenia J. E. Naczelnika kraju na opuszczenie kraju, nie opuszczą go w ciągu 3-ch miesięcy, to po upływie tego terminu zezwolenie traci swą moc a posiadający je wracają do poddaństwa ruskiego.

Nadto gubernatorom zalecono: 1) ażeby akta osób, starających się o świadectwa emigracyjne, naczelnicy powiatowi przedstawiali gubernatorom najpóźniej w ciągu 10 dni od czasu otrzymania oznajmienia o zamiarze przesiedlenia się; 2) gubernatorowie zaś mają przedstawiać akta generał-gubernatorom najpóźniej w ciągu 3-ch dni od chwili otrzymania tychże od naczelników powiatowych i 3) ażeby świadectwa emigracyjne bezzwłocznie wręczone były komu należy.

Z OBCEGO ŚWIATA.

Procesy: melinitowy w Paryżu i podatkowy w Bochum — Cywilizacja europejska w Kongo i Tonkinie.

W zeszłej pogadance dotknęliśmy pobieżnie skandalicznego procesu, dzisiejszą, niestety, znowu od podobnych spraw rozpocząć musimy. Przelotnie wspomniemy tylko o procesie Turpina i Triponeta w Paryżu. Osnowę sprawy znają już czytelnicy z kądinąd. Wynalazca melinitu Turpin, zdolny chemik, lecz zarazem wielki chełwiec, uważając się za pokrzywdzonego przez francuskie ministerjum wojny, zapragnął sprzedać sekret swego wynalazku znanej firmie angielskiej Armstronga. Ta ostatnia prowadziła przez czas jakiś układy z Turpinem; później jednak puściła go z kwitkiem, gdyż przy pomocy kapitana artylerji Triponeta wykrał z ministerjum francuskiego nie tylko sekret melinitu lecz i wszelkich jego ulepszeń, przez innych zastosowanych. Turpin niebawem domyślił się prawdy, zebrał dowody zdrady Triponeta i kilkakrotnie zwracał się do ministerjum z ostrzeżeniem. Turpina jednak nie lubiono w ministerjum, przeciwnie Triponné cieszył się przyjaźnią generała Ladvocat, a więc nie zwracano uwagi na ostrzeżenie i kapitan Triponné w dalszym ciągu uprawiał swe haniebne rzemiosło, wykrał plany, przerysowywał je i sprzedawał firmie, która mu za szpiegostwo płaciła. Wyprowadzony z cierpliwości Turpin odwołał się do opinii publicznej, wydając dzieło, w którym ogłosił zebrane przez siebie dowody, w tej liczbie kopije wykradzionych przez Triponneta planów. Skandal był zbyt głośny, żeby można było myśleć o stłumieniu sprawy. Turpin, Triponné i dwaj pomocnicy tego ostatniego stanęli przed sądem i skazani zostali na 5 lat więzienia. Rozprawy odbywały się przy drzwiach zamkniętych, nieliczne więc tylko szczegóły doszły do wiadomości publicznej. Faktem jest w każdym razie, że Turpin, w porównaniu z Triponné, jest obywatelem bez skazy, skazanie więc go na tę samą karę, wywołało powszechne zdumienie. Co dziwniejsza, że prokurator w swej mowie z całą zaciekleścią dowodził winy właśnie Turpina. Nawet przychylny ministerjum *Matin* nie mógł się wstrzymać od uwagi, że główną winą Turpina jest hałaśliwość, za hałaśliwość raczej wykrycie prawdy — t. j. zdrady Triponneta.

Za czasów Fryderyka Wielkiego powiadano, że *il y a des juges à Berlin* (są sędziowie w Berlinie), jak widzimy, nie meźna tego powiedzieć o Paryżu dzisiejszym. Na pociechę Francji dodaćby można, że tyleż samo są w arci sędziowie po drugiej stronie Wogezów. Wykazało się to oczywiście w świeżo ukończonym procesie w Bochum. O przewagę polityczną w tem mieście, jak i w całej Westfalii, walczą zacięcie narodowo-liberalni i przedstawiciele centrum. Pierwsi, obrońcy wielkiego kapitału, trzymają wszystko w swem ręku, drudzy usiłują przy pomocy klas ludowych dostać się do władzy. W ostatnich czasach jednemu z przedstawicieli centrum, redaktorowi *Volkszeitung*, Fussangelowi udało się z dowodami w ręku wyswietlić gospodarkę narodowo-liberalnych. W szeregu artykułów wykazał on, że miejscowy urząd podatkowy systematycznie szacuje zbyt nisko dochody obywateli bogatych, zwłaszcza narodowo-liberalnych. W jakich rozmiarach praktykowało się to faworyzowanie bogaczy na niekorzyść ubogich, okazuje się ztąd, że, jak utrzymywał Fussangel, istotny dochód niektórych przewyższał 10 razy sumę, oznaczoną przez urząd podatkowy. Fussangel nazwał sprawę po imieniu, nie ubierając brzydkich rzeczy w ładne słowa, obraził więc szanownych obywateli bochumskich, którzy wytoczyli mu proces o zniesławienie.

Głównym przedstawicielem pokrzywdzonych niewinności był pan Baare. Mąż ten jest jednym z największych przemysłowców niemieckich, dorównujący niemal znanemu na cały świat Kruppowi. Jest głównym dyrektorem olbrzymiej walcowni żelaza i stalowni, zatrudniającej 10,000 robotników i posiadającej własne kopalnie węgla kamiennego, jest on też tajnym radcą handlowym, członkiem rady stanu, kawalerem orderów, jednym z filarów stronnictwa narodowo-liberalnego. Słowem, jest to wielka potęga, znana i szanowana przez całe mieszczaństwo niemieckie. Jedni sławią go jako genialnego „wodza przemysłu“ niemieckiego, torującego mu nowe drogi, inni podnoszą jego ojcowską opiekę nad robotnikami, wszyscy wreszcie cenią w nim głębokiego znawcę kwestyj społecznych. Książę Bismark zasięgał jego zdania przy opracowywaniu praw robotniczych, cesarz Wilhelm I powołał go do rady stanu. Stronnictwo narodowo liberalne szczyściło się z posiadania takiego męża i wierzyło święcie, że nikt tak przekonywająco nie udowodni, iż należy zachować wielką ostrożność w prawodawstwie, aby nie zabić przemysłu niemieckiego, czyli, innymi słowy, nie zarznąć kury, niosącej złote jaja. Ten właśnie wielki mąż, mający, jak sam przyznał na sądzie, kilkaset tysięcy marek rocznego dochodu, płacił podatek tylko od 39,000. Inni jego koledzy w niewinności, mający np 40,000 dochodu, płacili podatek od 5 tysięcy i t. d.

Wszystkie te fakty stwierdzone zostały na sądzie własnymi nawet zeznaniami powodów. Na ich usprawiedliwienie powiedzieć było można to tylko, że dotychczas (t. j. przed uchwaleniem ostatniego prawa Miquela) szacowanie dochodu zależało od urzędu podatkowego, a trudno przecież wymagać od ludzi, chociażby nawet wielkich, takiego bohaterstwa, żeby sami dobrowolnie płacili więcej, niż od nich żądają. Niestety jednak, na sądzie wypłynęła inna jeszcze sprawa p. Baarego, sprawa, której nietylko zbytnią skromność, lub brak bohaterstwa zarzucić można. Zakład, na którego czele stoi p. Baare, jest głównym dostawcą relsów, oraz innych części taboru kolejowego dla niemieckich kolei państwowych, oraz dla wielu dróg zagranicznych. Otóż Fussangel rzucił oskarżenie, że zakład ten za pomocą fałszowanych stempli systematycznie dostarczał rządowi niemieckiemu relsów, odrzuconych przez agentów kolejowych. Nowe to oskarżenie wywołało wprost przerażenie, mimowoli przypominały się wszystkim tak częste w ostatnich czasach wypadki na kolejach niemieckich. Fussangel przytaczał znowu na poparcie swych oskarżeń szeregi cyfr i nazwisk, a Baare nie zaprzeczył mu stanowczo, wykręcał się tylko, że nie wie, co się dzieje u niego w fabryce, utrzymywał, że zajmuje się tylko handlową, nie zaś techniczną stroną przedsiębiorstwa i t. d.

Pomimo to wszystko jednak Fussangel, oskarżony o zniesławienie tak zacnych mężów, jak Baare, skazany został na więzienie za to, że, pisząc o nich, używał wyrazów nieparlamentarnych...

Nie zbyt świetnie świadczą o cywilizacji naszej procesy w rodzaju Cumminga, lub Baarego. W ca-

łym blasku występuje jednak nasza cywilizowana natura dopiero tam, gdzie występujemy w roli cywilizatorów, niosących plody naszego wysokiego rozwoju zacofanym braciom w ludzkości. Jest np. w Afryce „międzynarodowe państwo Kongo”. Cudacka ta nazwa winna świadczyć o tem, że w tem państwie Kongo wszystkie narody europejskie cieszyć się mają równymi prawami zarówno politycznymi, jak i, co najważniejsza handlowymi. Na czele tego państwa stanął król belgów, Leopold, który, oszołomiony cudami, opowiadaniem o wnętrzu Afryki, marzył o zdobyciu ogromnych bogactw. Rzeczywistość zadała niebawem kłam tym iluzjom. Kongo nie tylko się nie opłacało, lecz, przeciwnie, wymagało wciąż nowych i nowych nakładów. Wówczas to król Leopold poczuł szczerą chęć ofiarowania Kongo ukochanej Belgii oraz rozpoczął u rządów europejskich starania co do obłożenia cłem wszystkich, przywożonych do Kongo, towarów. Rządy gotowe już się były zgodzić na ten niemiły i nieprzewidziany rezultat „międzynarodowego” cywilizowania Afryki, gdy nagle zaczęły kursować wieści, że cła będą miały na celu nie pokrycie kosztów administracji państwa, jak utrzymywał król Leopold, lecz zapewnienie temuż kobursko-belgijskiemu monarsze monopolu handlowego. Jednocześnie popyły się, jak z rogu obfitości, przeróżne wieści o sposobach, jakimi administracja Kongo cywilizuje krajowców. Cały zarząd, jak się okazuje, składa się, grzeecznie mówiąc, z awanturników najgorszego gatunku. Szczególniej skandalicznym jest sprawozdanie, złożone prezydentowi Stanów Zjednoczonych przez pułkownika Williamsa.

Rząd belgijski przewidywał widocznie, że wiecieczka Williamsa do Kongo nie przyniesie nic dobrego, wszelkimi bowiem siłami starał się go od poczętego zamiaru odwieść. Jeden z dworaków królewskich ostrzegł go, że klimat jest tam zabójczy, zwłaszcza dla obywatela Stanów Zjednoczonych. Sam Leopold II prosił go, by się wstrzymał do czasu zbudowania kolei żelaznej. Amerykanin nie uległ jednak i pojechał, za co król się zemścił odmową udzielenia mu statku rządowego. I oto obecnie pułkownik świadczy, że nie udało mu się w tem „międzynarodowym”, czy też „wolnym” państwie spotkać ani jednego murzyna, któryby czuł względem administracji, działającej w imieniu króla Leopolda, coś innego nad głęboką nienawiść. Władze [wymagają tego, żeby krajowcy prowadzili handel tylko z rządem i żeby oddawali swe towary za bezcen, zresztą panuje tu nieograniczona wolność. Jak daleko zachodzi poszanowanie wolności, świadczyć może fakt, że nie przedsiębiorze się żadnych środków nawet przeciw ludożerstwu. Na targach sprzedają jawnie wędzone i solone szynki ludzkie! Handel niewolnikami nie ustał wcale, sam rząd zakupuje murzynów na własne potrzeby, urzędnicy znowu prowadzą ożywiony handel murzynkami. Co się tyczy niewolnictwa, to rewelacje Williamsa znajdują potwierdzenie w niedawno ogłoszonym liście pewnego księdza katolickiego. Zresztą sam rząd nie zaprzecza w zupełności temu, utrzymuje tylko (przeciw czemu Williams stanowczo protestuje), że kupuje murzynów na lat 7, poczem daje im zupełną wolność. Wobec takich faktów, pominąć już możemy milczeniem takie drobnostki, jak uczynienie z wódki głównego środka dojeżdża do porozumienia handlowego z krajowcami i t. d.

Pamiętają jeszcze zapewne czytelnicy okrucieństwa, jakie się odbywały w czasie pochodu Stanleya do Afryki, przekonujemy się dziś, że toż samo dzieje się i w zorganizowanym już prawidłowo państwie. W dziennikach zagranicznych po stwierdzeniu okrucieństw ekspedycji Stanleya czytaliśmy zapewnienia, że to klimat podzwrotnikowy działa tak fatalnie na europejczyków, że on to przeobraża szlachetnych cywilizatorów w okrutnych barbarzyńców. Możliwości tego objaśnienia nie podobna wręcz zaprzeczyć i powiedziecby tylko należało, że, jeżeli tak jest, istotnie, to czy nie lepiejby zrobili europejczycy, wyrzekłszy się zarówno swej misji cywilizacyjnej, jako też i kości słoniowej. Niestety są jednak wskazówki, że na klimat zwalić całej odpowiedzialności prawa nie mamy. Posłuchajmy np. niedawnych obrad w Lyonie.

Przedsiębiorczy kapitalista ma w ogóle serce czułe. Widok niewyciętego lasu, któryby mógł być sprzedany za gotówkę, napełnia go boleścią, dzikus zaś, zaspakajający sam swe potrzeby i „nie pracujący dla handlu zewnętrznego” kraje mu serce. Kapitaliści francuzcy mają w Tonkinie obie te przy-

czyny do zgrzyot, kraj ten ma tyle bogactw naturalnych, tyle by się dało w nim zrobić niestety krajowcy myślą tylko o zaspokojeniu swych potrzeb. Uprawiają więc przeważnie ryż, kulturą zaś herbaty, cynamonu, morwy, zajmują się o tyle tylko, ile potrzeba im dla siebie, o tak zyskownych zaś przedsiębiorstwach, jak kawa i opium, nawet nie słyszeli. Właśnie o sposobach popehnięcia krajowców tonkińskich na drogę perkalikowo-opiumowej cywilizacji radzono w Lyonie. Świetne to zgromadzenie zaszczytliwi swą obecnością świeżo mianowany wielkorządca Tonkinu, Lanessan i p. Ulysses Pila. Ten ostatni jest, jak się wyrażają dzienniki francuzkie „promotorem inicjatywy lyońskiej w Indochinach” czyli mówiąc zrozumiale, badał on w imieniu kapitalistów lyońskich Indochiny do celu wykrycia sposobów wyzyskania ich na rzecz swych mocodawców. Pila przedstawił swój projekt cywilizowania. Zdaniem jego, należy pójść w ślady holendrów na Jawie i zaprowadzić w Tonkinie coś w rodzaju niewolnictwa, czy też poddaństwa. Północny Tonkin jest nieuprawny i niezaludniony, należy więc ściągnąć tam chłopów krajowych, narzucić im uprawę roślin, dla handlu europejskiego przydatnych, naturalnie że pozostawioną im będzie pewna, określona część produktu. Zresztą, należałoby zbadać, czy niedałoby się zużytkować gruntów zajętych już obecnie i uprawianych. I pod tym względem można być dobrej myśli. Holendrzy na Jawie wykryli już w swoim czasie zasadę, że cała ziemia należy do głównego władcy i że krajowcy w zamian za opiekę obowiązani są do wypłacania pewnej należności w robociźnie.

P. Lanessan nie przystał wprawdzie na projekt p. Pili, sądził bowiem, że rząd demokratyczny w wieku XIX nie może uciekać się do podobnych środków, w każdym jednak razie projekty nowożytnego Ulyssesa charakteryzują dobrze stosunek cywilizacyjny europejczyków do młodszych braci.

J. H. Siemieniecki.

Korespondencyja „Głosu”.

Dobrzyń nad Wisłą.

Stosunki wiejskie.

Rok zaprzęśli dał tak mało paszy że $\frac{1}{4}$ inwentarza trzeba było za bezcen zmarnować. Niejedna rodzina zmuszona była pozbyć się ostatniej krowy-karmicielki. Brakpaszy, a więc brak nawozu, oraz posucha roku zeszłego dały najgorsze rezultaty w ziemniakach i życie, przeważnych artykułach żywności ludu uboższego. Rok obecny tak źle się zapowiada, że niczem są wobec niego minione dwa lata. Żyta, szczególnie późne, formalnie przepadły. Są tak rzadkie, że miejscami gospodarze wzięli się za pług i posieli po nich jarzynę. Sprzedać nie było co; przytem ceny nader niskie, wydatki wciąż się mnożą, także wszelki akt, jak intercyza, kosztuje, sprzedaż, kupno czy jakikolwiek interes powodują wydatki dodatkowe, każda rzecz lub do odzieży gospodarstwa za pieniądze się nabywa. Obejść się bez tego nie można, córki i synowie płaczą i po miejsku chcą się ubierać; chociaż tanio za wszystko się płaci, ale ilość tego wielka. Zarobku nie ma. Przemysł domowy upadł zupełnie; samopomoc kobiet w gospodarstwach wyszła z użycia. Wrócić do samodzielnego jest niepodobieństwem, młodzież na to nigdy się nie zgodzi. Ubierać się napowrót w materje swej roboty, jestto, podług nich, cofnąć się do stanu pierwotnego.

Wyroby domowe zniknęły wówczas, kiedy ceny zboża i inwentarza podniosły się do niepraktykowanej wysokości. Kto nie miał co sprzedać, ubierał się z zarobków, a mógł dosyć łatwo zarobić. Naturalnie w części przyczyniła się do tego taniłość wyrobów łódzkich i rozpowszechnianie takich po miasteczkach, a nawet po wsiach.

Dziś o zarobek nader trudno, folwarki pustoszą, nie tylko nikt prawie nie robi ulepszeń, lecz wiele gruntów pozostaje odłogiem; rowy pozarastały, parkany znikły, budynki się pochylły. Nikt nie myśli o naprawieniu. Dziś biedny wyrobnik, nie tylko że niedostanie naprzd pieniędzy lub zboża na życie na przednówku, lecz częstokroć mija go to, co krwawo zapracował.

Pracuje kilka miesięcy na kwitki, cierpliwie oczekując sprzętu i żywiąc się ziemniakami oraz tem,

co uda mu się na kredyt wyżebrać, tymczasem żyd zajmuje za długi obywatelowi cały sprzęt, zostawiając tylko zboże na zasiew i dla służby na rok bieżący; czasem przymusowa sprzedaż ruguje właściciela i cała robocizna przepada. Gospodarze włościanie są często jeszcze mniej użyci dla biedniejszej braci, niż obywatel; nie dadzą nie zarobić, a jeśli i dadzą—okropnie siły wyzyskują. Nie nie pożyczą, lechy pod kartofle nie dadzą, z pola nie przywiozą, po drzewo nie pojedą, nawet do miasta lub kościoła ubogiej staruszki nie zabiorą, chociażby w największy śnieg lub mróz, a sobie „równego” zabiorą z całą ochotą.

Biedak, odepchnięty przez swoich, tuli się do dworu, kłania się i robi. We dworze go nieraz „zwymyślają”, niekiedy mu i kije spną; znosi to z poddaniem, bo rachuje, że skoro się okoliczności poprawią, a poprosi o co, dadzą mu. Nie może on służby porzucić lub po sądach się włóczyć dla kilku kijów lub nioprzyjemnych słów, jeśli tylko „pan” jest rzetelny i chociaż parę razy do roku hojny; nigdy zaś nie podaruje skąpcowi lub nieużytemu. Jeśli nie może się na nim zemścić, z procentem żydowskim odplaci jego żywemu lub martwemu dobytłkowi.

Służba dworska dumna jest ze swego stanowiska, szczególnie jeśli „pan” zamożny i wszelkie sprzęty gospodarskie i konie utrzymuje w stanie dobrym; fornal, mijając gospodarza, nieraz skrobnie go porządnie batem i w cwał pojedzie dalej. Jestto zapłata za nieżyczliwość i obojętność, jaką okazują gospodarze bezrolnym. Gdzie obywatel upada, cała ludność bezrolna znajduje się w stanie opłakanym, niepewnym jutra. Niekiedy konanie ciągnie się lat kilka lub kilkanaście, folwark przechodzi z rąk do rąk, marnieje, pustoszeje, ludziom się nie wypłaca i nie może trafić na właściciela zamożnego, gospodarnego.

Włościanie rolni mają się wtedy trochę lepiej; mogą bezkarnie szkody robić lub za bezcen wynajmować letnie pastwiska.

Przyczyny upadku folwarków są znane. Między innymi trzeba zanotować, że z winy obywateli są nieuregulowane serwituty, które uniemożliwiają prowadzenie gospodarstwa racjonalnego w czasach pomyślniejszych; ztąd ciągle procesy i wojny podjazdowe z włościanami, utrzymywanie specjalnych adwokatów, i t. p.

Folwark z dawien dawna obciążony był długami hipotecznymi, a później i serwitutami, a więc nie sam szlachcic był właścicielem.

Nareszcie ostatnią i bodaj czy nie najważniejszą przyczyną ruiny jest chęć uchodzenia za bogatszego, niż się jest w istocie. Jestto wada narodowa, bardzo zgubna dla wszystkich, lecz najbardziej zakorzeniła się pośród inteligencji; popycha ona jednych do łapówek, innych do ruiny. Młody człowiek, mając w spadku zaledwie kilka tysięcy rubli, rzucał się na kupno majątku, kilkakrotnie przenoszącego jego kapitał, i cały swój spryt i zdolności zużywał na utrzymanie pozorów swej zamożności.

Ceny wygórowane poniekąd pozwalały na to. Skoro tylko jeden, drugi tak sobie postąpił, używając powagi dziedzica folwarkowego i tytułu „wielmożnego”, nikt nie dotrzymał placu na swoim dziedzicznym gnieździe, sprzedawał, handlował, spekulował, aż nareszcie zdobył coś znacznie większego. Polak lubi się z natury zapalać, otóż wkrótce ogarnęła wszystkich chęć wywyższania się do tego stopnia, że dzisiejsza brazylijomania pomiędzy małuczkami wcale większą nie jest.

Żydy dopomagali całymi siłami. Trzymając się wspólnie za ręce; ufając sobie potrafili nawet sprowadzać z zagranicy pieniądze i lokować je na wysokie odsetki. Wielu sprytnych żydków ze zwyczajnych handlarzy doszło do bajecznych majątków. Ponieważ większa część pieniędzy była wyciągnięta od ziemian, w ciągu lat kilku, więc żydzi wcale się z niemi nie drożyli, sypali naprawo i lewo każdemu, podmawiając do kupna. Nareszcie zapędzili się zdaleko, i nim tanie lata nastąpiły, niektórzy zaczęli urządzać symulacje. Skoro taniłość na dobre się rozpoczęła, bankructwa i upadek moralny inteligentnych ziemian wykazały się w całej nagości i ohydzie. Władza zmuszona była wydać specjalne rozporządzenia, aby chociaż w części zapobiedz złemu. Zły przykład szybko zaraza. Spekulacja symulacyjna wkrótce przeszła do mas. Uczciwość a co zatem następuje, zaufanie czyli kredyt znikły na długie czasy. Gospodarstwa rolne większe i mniejsze upadły zupełnie. Dochód z ziemi stał się coraz mniejszy, dla braku kapitału i kre-

dytu ludność ubożała, wyszukując się wzajemnie. Obywatel wyszukiwał robotnika, robotnik skubał, gdzie i jak mógł, chlebobdawę. Gdzie gospodarstwo zdawien dawna idzie normalnym trybem, tam dola obu jest znośniejsza.

G. K.

Przegląd społeczny.

Łódź. (Kor. „Głosu“). Długoletnim staraniem mieszkańców Łodzi stało się zadość: droga żelazna fabryczno-łódzka zaprowadziła bilety spacerowe do przystanku Andrzejów, licznie odwiedzanego w letnich miesiącach przez majówkowiczów, oraz członków rodzin, zamieszkujących podczas lata w pobliskiej wiosce Brdoniu. Dotychczas specjalnych biletów do stacji wzmiankowanej nie było i każdy pasażer musiał za potową drogi opłacać należność za cały bilet od Łodzi do Kozłówek. Obecna zniżka wynosi 5%. — Podobno kilku rzemieślników z fabryki p. Poznańskiego napadło jednego z techników wzmiankowanej fabryki, Anglika, i pobiło dość silnie za wydalenie ich za rzecz błądzą. — Tutejszy wielki zakład stolarski Karola Wulke zaprowadza urządzenie parowe, wskutek czego spodziewanem jest wydalenie kilkunastu robotników. — Z świeżo ogłoszonego sprawozdania ambulatoryjum bezpłatnego za rok ubiegły, dowiadujemy się, iż w przeciągu roku odwiedziło je i otrzymało bezpłatne porady 10,000 osób. Cyfra powyższa wyda się wiele małą, jeśli przyjąć pod uwagę zupełny brak tanich lecznic, oraz odpowiedniego szpitala miejskiego, istniejący bowiem szpital powiatowy posiada miejsca dla stu zaledwie chorych i pod żadnym względem nie jest w możności zaspokoić potrzeb ludnego miasta i okolicy. — We wszystkich fabrykach tutejszych z rozporządzenia władzy zaprowadzono książeczki robotnicze, zawierające prócz rubryk dla notowania legitymacji robotnika i pewnych warunków umowy, także i szereg przepisów obowiązujących obie strony, oraz wyciąg z kilku paragrafów kodeksu karnego, dotyczących kar kryminalnych za udział w bezrobociu lub podżeganie do niego. Książeczki powyższe, po odnośnem zapełnieniu rubryk, rozdano wszystkim robotnikom bezpłatnie. — Rozkazem p. policmajstra miasta Łodzi zabroniono aż do dalszego rozporządzenia zabaw ludowych, zwanych „Tanzkranzchen“, odbywających się w każdą niedzielę od godziny 10-ej wieczorem do 3 lub 4-ej rano w tutejszej sali koncertowej Vogla. — Fakt powyższy notować należy z wielkim zadowoleniem, „tanzkranzcheny“ bowiem pod obłonką zabawy ludowej kryły najwzyczejniejszą rozpustę, dom schadzek z muzyką i tańcami, zdyskredytowany wśród ludności robotniczej do tego stopnia, iż żadna więcej szanująca się robotnica odwiedzać go nie chciała, a jedynymi gośćmi płci żeńskiej bywały prawie wyłącznie wszelkiego rodzaju prostytutki. — Na sezon letni zjechała do naszego miasta trupa prowincjonalna pod kierownictwem p. Szymborskiego. *Izar.*

Z gub. piotrkowskiej. (Kor. „Głosu“). W „Zbiore praw i rozporządzeń“ ogłoszono zatwierdzoną w tych czasach ustawę towarzystwa subjektów handlowych, oraz majstrów techników, pracujących w fabrykach miasta Tomaszowa. Zadaniem towarzystwa będzie: przychodzić z pomocą członkom rzeczywistym przez wydawanie pożyczek i zapomóg bezwrotnych; wyszukiwać zarobków osobom, które ich nie mają nie z własnej winy; grzebać swoim kosztem biednych członków. Fundusze, które się mają tworzyć ze składek, ofiar, procentów od kapitałów towarzystwa, z zabaw, dzielą się na kapitał zakładowy i obrotowy. Członkowie rzeczywisci wnoszą składki jednorazowo 2 rs. i po rubla kwartalnie (lub jednorazowo 60 rs.); członkowie protektorzy przynajmniej 3 rs. rocznie (lub 30 rs. jednorazowo). Pożyczki mogą być wydawane do wysokości 100 rs. bez procentu, za poręczeniem dwóch członków na termin dwaletni. Zapomogi członkom chorym—do 5 rs. tygodniowo w ciągu najdłużej 3 miesięcy. — Egzamin w szkole sztygarów w Dąbrowie górniczej już ukończone. Z klasy pierwszej wszyscy uczniowie zostali promowani do drugiej. Na rok przyszły do klasy pierwszej może być przyjętych 30 nowych uczniów; jednocześnie powstaje klasa trzecia z uczniów promowanych z klasy 2-iej.—Coraz częściej podnoszona bywa sprawa mieszkań w Sosnowcu. Brak ich nietylko dla ludzi zamożniejszych, lecz, co gorsza, dla robotników i górników. Wielu robotników, pracujących w Sosnowcu, zamieszkuje o kilkanaście wiorst od kopalni

i przestrzeń tę muszą odbywać dwa razy dziennie, wyrzekając się obiadu w domu rodzinnym. Robotnicy pędzą przez to żywot koczowniczy; nie ich nie przykuwa do miejsca, więc ciągle wędrują od Zagórze do Czeladzi, z Czeladzi do Milowic, ząd do Dąbrowy lub Strzemieszyc i t. d. przytem nie mało robotników przychodzi codziennie do kopalni z zagranicy za półpaskami. Kopalnie z tego powodu odczuwają nieraz brak robotników. W kopalniach tymczasem potrzeba stałych fachowych górników; sprowadzanie nowych sił niezawsze dla kopalni jest praktyczne. Lud rolny, a nawet robotnicy, którzy dotąd na powierzchni ziemi pracowali, obawiają się spuszczać pod ziemię. Ogarnia ich strach zabobonny na samą myśl spuszczenia się w podziemia. Korespondent *Tygodnia* opowiada, że był świadkiem, jak partyja robotników, sprowadzonych z pod Częstochowy, nie miała odwagi spuścić się na szali. Stali przed nią czas jakiś, żegnali się i modlili, w końcu uciekli do domów. Sprawa mieszkań najgorzej stoi w Czeladzi (w kopalniach „Saturn“ i „Michał“), w Nivce (na „Rudolfie“), w Sielcu („Fanny“), oraz w Dębowej Górze („Joanna“). — W Piotrkowie rozpoczęto szczegółowy spis ludności.

Markuszów gub. lubel. (Kor. „Głosu“). Żydzi tutaj i w pobliżkim Kurowie bardzo gorąco rozprawiają o emigracji. Jeden, stary krawiec, mówi mi, że wielu się wybiera, ale nie wiedzą, jak tam jest naprawdę w tej Palestynie. Czekają, ażeby ktoś z tamtąd wrócił i opowiedział: co i jak jest. Krawiec, ów twierdzi, że żydzi mogą wziąć się do roli. Opowiadał, że na wystawie w Lublinie 1861 r. jakiś obywatel (zdaje się Piasecki) wystawił pług z parą wołów i żydkiem. Jak ów żydek zaczął orać, to tak się jego robota wszystkim podobala, że dostał nagrodę. Ale, dodaje ów krawiec, trochę trudno będzie rozstawiać się z tutejszymi ludźmi, bo się przywykło. „Zawdy żydek bez polaka, a polak bez żydka się nie obejdzie“. Inni żydzi mówią, że pojechaliby chętnie, gdyby im dano zapomóg na podróż. Żyd rymarz z Kurowa opowiadał mi, że z Lublina wyjechało 60 rodzin do Palestyny, oraz że kurwacy żydzi chcą domy sprzedawać i też jechać. O kolonijach Hirsza w Argentynie nie wiedzą i wszyscy mówią tylko o Rotszyldzie i Palestynie. Zdaje się, że gdyby żydzi tak zorganizowali swoją emigrację, jak robili z naszą, t.j.: gdyby istniało werbownictwo, wychodziły broszury agitacyjne w żargonie, a w dodatku gdyby wychodzący mieli zapomogi na wyjazd i gwarancję jakiegoś takiego dobrobytu po osiedleciu — wyemigrowałyby tysiące, a nawet dziesiątki tysięcy, *M. B.*

Z CESARSTWA.

Wilno (Kor. „Głosu“). Fortuna kołem się toczy... Niedawno w przeciągu trzech dni został sprzedany majątek Ks. Hohenloe „Zakret“, położony nad Wiliją niedaleko miasta. Nabyli go p. inżynier Mec wraz z p. Bergiem podobno za bezcen. Zaledwo zdążyli ci panowie nabyć ów majątek, jak już powstał między nimi zamiar, który, gdy uskutecznić zdołają, więcej jak na miano arcychwalebne zasłuży. Zamierzają oni wystarać się o przyłączenie „Zakretu“ do miasta, następnie zaś chcą rozparcelować go, co da możność nabywania ziemi osobom, pozbawionym tego prawa w powiatach. A gdy most przez Wiliją połączy majątek z miastem, bezwarunkowo, że miejscowość zabuduje się prędko i Wilno poniesie się w tym kierunku, zwłaszcza że warunki topograficzne „Zakretu“ nasunęły myśl jednemu z lekarzy założenia tam stacji klimatycznej dla suchotników, i dziwić się i cieszyć się należy. Dziwić, że dotąd nikomu na myśl nie przyszło zrobić tego, co uczynili panowie Mec i Berg; cieszyć się znów dla tego, że przybędzie nam z czasem zdrowa część miasta, które, pomimo że posiada dużo warunków pomyślnych, jednak wiele pozostawia do życzenia w tym względzie. Straszny „zapach“ na ulicach podczas upałów, niemożliwie brudno utrzymane kanały, dziedzińce i ustępy tak zatrują powietrze, że trudno oddychać; nie mówiąc już o dzielnicach miasta, wyłączenie przez żydów zamieszkałych, te są przez rok cały ogniskami zarazy oraz źródłem wszelkich wyziewów. A co gorsza miasto nasze, położone w dolinie i posiadające krzywe ulice, nie nadaje się wcale do kanalizacji. Komisya sanitarna, oglądając w jesieni fabrykę tytoniu Edelszejna, znalazła lokal zupełnie nieodpowiadającym warunkom higienicznym, co wpłynęło zapewne na właściciela, że buduje teraz inny gmach, w którym fabrykę ulokować zamierza. Gorzej się dzieje z łaźniami u nas. Czytamy w Nr. 128 „Wilenskiego Wiestnika“, iż wzrastająca ilość skórnych chorób i rozmaitych wysypek na ciele u żołnierzy zwróciła

uwagę władzy, skutkiem czego komisarz 6-go cyrkułu wraz z inżynierem Winerem oraz z lekarzem miejskim Ogijewiczem udali się do łaźni kupca Fina, położonych na Zarzeczcu, gdzie znaleźli w rezerwoarach zapasowych nader brudną wodę. Zrobiono analizę tej wody i sędzia pokoju skazał właściciela łaźni Fina na 8 dni aresztu przy policji. Woda w łaźni jednak lepszą nie będzie. Prawdopodobnie projekt budowy mostu na Wilii ostatecznie uchwalony zostanie; budowa powierzona będzie osobnej komisji, plan zaś wykonawa petersburgski inżynier p. Bielelubski, za co 2000 rs. otrzyma. Urządzona tutaj w ogrodzie po-bernaudyńskim zabawa w d. 2 Czerwca na korzyść pogorzalców m. Radoszkowicze w pow. wilejskim dała przeszło 1000 rs. czystego dochodu. Magistrat energicznie krzątał się koło tej sprawy, to też dochód był znaczny. *J. S.*

Kijów. (Kor. „Głosu“). Wkrótce zostanie wprowadzoną w życie nowa ustawa miejska, ograniczająca wielce samorząd. Dziś opinja publiczna zaczyna sobie przypominać i rozważać: co dobrego, a co złego uczynił on dla miasta. A złego jakoś nikt sobie przypomnieć niemoże; dobrego zaś dał miastu samorząd niemało. Gdzie się dawniej ciągnęły puste place, zbiorniki śmiecia i kurza, tam dziś zielenią ogródki i skwery, które na wdzięcznym gruncie kijowskim wznoszą się nader szybko. Dawne ogrody będące siedliskiem „bosaków“, ludzi nieużywających obuwia, poogradzano, uporządkowano, oddano pod opiekę stróżów. Praca to nie mała, bo ogólna powierzchnia plantów, skwerów i ogrodów publicznych kijowskich wynosi zapewne tyle włók, ile spory majątek w Królestwie. Dalej, skanalizowano część miasta, uporządkowano bruki i drogi i t. d. Jednym z najważniejszych przecie przedsięwzięć dawnego zarządu, któremu los zapewne nie pozwoli ich oglądać, jest zaprowadzenie tramwajów i elektrycznego światła w teatrze. Stajnie i składy tramwajowe już stoją na przedmieściu, a szyny, poukładane tymczasem w piramidkach na mieście, zapowiadają, iż bliżką już jest chwila, w której pierwszy wagon ukaże się na Kreszchatiku.—Dzwonek tramwajowy wydzwoni jednak dla wielu ciężką godzinę. W braku tramwajów, namnożyło się u nas wiele dorożek; przy dorożkach mieli zajęcie kowale, którym się nieźle działo. Byli to już podobno ostatni przedstawiciele drobnego przemysłu, którzy się utrzymali wobec nowych warunków. Dziś czeka ich los krawców i szewców, których już dawno zgubiła konkurencja wielkich składów wyrobów warszawskich. Przy drożyznie robotnika, utrzymanie etc. drobnemu rzemieślnikowi utrzymać się już u nas nie jest w stanie. Dobrze się tylko dzieje kelnerom i szwajcarom pierwszorzędnym restauracyj. Ci majątki robią i domy budują. Parę tygodni temu sąd okręgowy rozpatrywał sprawę pewnego Kohena, oskarżonego, o fałszerstwo weksłów na imię ojca. Weksle te wydawał on na imię szwajcara jednego z pierwszorzędnych hoteli. Przysięgli uznali, iż, puszczający się, młodzieniec jest niepoczytalnym, jako nie umiejący rozróżniać moralnej doniosłości czynów; winnym więc jest jedynie zubożony przezeń i jemu podobnych szwajcar; tego przeto skazano na pozbawienie praw i wysłano, gdzie należy; młodzian zaś już paradytuje po ulicach i skwerach miejskich, elegancki, jak dawniej... Bawiła u nas pani Duze ze swem towarzystwem, dała 5 przedstawień, ceny były niesłychanie wysokie, mimo to teatr był pełen. Był tu, dawniej nieco Korsz ze swem towarzystwem, nie długo przecie, bo teatr uporczywie pustkami świecił, mimo wielkiej reklamy. Uznano tu, iż dobór artystów jego jest lichy, dobór sztuk jeszcze gorszy... Nikt nie jest prorokiem między swymi... *Wacł. C.*

Z ZAGRANICY.

Kraków. (Kor. „Głosu“). Dziwnym zbiegiem okoliczności przypadł kulminacyjny punkt letniego czyli końskiego karawału na czas walnego zgromadzenia członków Krak. Towarzystwa oświaty ludowej. A więc z jednej strony miałem sposobność oglądania zapału „zaróżnionych twarzy“ szlachciców, dobrze i gorzej urodzonych, a równie zapalających się do sportu na Błoniach, z drugiej — cichą i mało-płodną działalność Tow. ludowego, mającego moralnie i duchowo warstwy pracujące podnosić. Cyfrowo rzecz się tak przedstawia: na benefic „tolblutów“ i urządzenie „wspaniałe“ toru wyścigowego wydano tutaj około 40,000 złr. (sic!) a w r. ub. rozeszano książeczki ludowych za 2430 złr.; za wstępy na tor zebrało kilka tysięcy złr., a za wstęp na Tow. oświaty w r. u. „ściągnięto“ 160 złr. i to nie zupełnie dobrowolnie. Wybacz mi, zapewne, czytelnicy „Głosu“ to niefortunne zestawienie, ale użyłem go umyślnie

dla przeprowadzenia faktycznego dowodu, iż w Galicji opieka nad bydłem jest stanowczo bardziej pielęgnowana, niż nad biednym ludem, który znajduje się u naszej t. zw. inteligencji na trzecim planie. Smutnym był widok na Błoniach, gdy oprowadzano „Cadięgo“ hr. Potockiego, ogiera-zwycięzcę. Damy, te same modlące się i czujące „po afrykańsku“ niewiasty, pozdrawiały batystowemi chustkami dobrze zbudowanego konia, a mężczyźni wołali z trybun: „Vivat, niech żyje polski koń“ (nb. kupiony w Paryżu). Wracając z toru do Tow. oświaty ludowej, winienem nadmienić, że wedle sprawozdania założyciela w r. ub. 167 nowych czytelników i rozesłało 22,000 książeczek. P. Pierzchała słusznie zauważył, że oprócz działów religijnych i powieściowych Tow. winno rozsyłać między lud książki treści społecznej, urządzić lepsze odczyty i dopuszczać młodzież do pracy nad oświecaniem ludu. Interpelacja p. P. nie znalazła sympatycznego oddźwięku w łonie wydziału, którego reprezentant dał mówcy krótką i niezgrabną odpowiedź. Dochód Tow. wynosił w r. u. 8818 złr. Fundusz żelazny przedstawia ogółem sumę 7267 złr. Prezesem Tow. został ponownie wybrany ks. kan. Pelczar. — Z pracy fizyka tutejszego dra Buszka dowiadujemy się, że, dzięki urządzeniu sanitarnym, śmiertelność w Krakowie była mniejszą w okresie od r. 1876 do 1887 niż we wszystkich miastach Galicji; niższą od Krakowa miał Wiedeń i Salzburg. Sanitarne urządzenia krakowskie wykazują też zmniejszenie chorób zaraźliwych. — W procesie pp. Breitera, Feldmana i tow. rozpoczną się jutro przemówienia oskarżyciela i obrońców. Wyrok spodziewany jest w piątek lub sobotę. — Znany poeta K. Tetmajer wydał u nas, nakładem Gebetnera, tom poezyj, których ocenę znajdują niewątpliwie czytelnicy „Głosu“ na innym miejscu. *Vox.*

Lwów. (Kor. „Głosu“). Wczoraj odbyło się tutaj walne zgromadzenie członków „Tow. przyjaciół oświaty ludowej“, które zagał prezes dotychczasowy p. Bolesław Wyślouch. Po dłuższej dyskusji w sprawach formalnych wybrano prezesem: postą dra Karola Lewakowskiego, wice-prezesem zaś redaktora Rewakowicza. Do zarządu powołano między innymi postą-właściciela Potoczka. Uchwalono też nie zakładać nowego organu, tylko utrzymać przyjazne stosunki z „Przyjacielem ludu“. — Kolej Karola Ludwika, będąca dotąd własnością akcjonaryjuszów — przechodzi z dniem 1 Stycznia r. p. na rzecz rządu. W Wygodzie pod Doliną sponała onegdaj częściowo tartak Popperów, jeden z największych w Austrii. — Rektorem Wszechnicy lwowskiej wybrany został na r. 1891/92 prof. kr. August Balasits.

Lambda.

Wyjaśnienie.

Z powodu sprostowania pana Kazimierza Glińskiego, wydrukowanego w Nr. 23 *Głosu*, upraszam o umieszczenie kilku uwag następujących: Przymiotnik „ukraiński“ należałoby zastąpić przymiotnikiem „małoruski“; ta drobna nieścisłość dała powód do nieporozumienia. Gdy przez wyraz Ukraina p. Gliński rozumie gub. Kijowską, tedy ja rozciągam tę nazwę do gubernij Czernichowskiej i Połtawskiej (Ukraina Zadnieprska) oraz Charkowskiej i Woroneskiej (Ukraina Słobodzka), zdawało mi się że w recenzji pracy historycznej będzie odpowiednią i terminologija geograficzno-dziejowa. Chętnie zgadzam się z p. Glińskim, że wieczornice w gub. Kijowskiej nie posiadają żadnych śladów swobody stosunków płciowych, ale nie można tego twierdzić wogóle o wieczornicach. Pr. Kowalewski mówi wyraźnie, że swoboda stosunków miłosnych znajduje swój wyraz w wieczornicach małoruskich; dalej ten sam uczony, powołując się na własne obserwacje, twierdzi, że wśród małorusinów gub. Charkowskiej wieczornice noszą cechy podobne. (Prawo pierwotne II, 5). Pan Sumcow w swoim artykule o wieczornicach (Istoriczeskij Wiestnik 1886 r. Nr. 3) wyraża zdanie podobne. O wieczornicach, jako zwyczajowej instytucji, zachowującej pewne ślady „pierwotnego pomieszania rozródowego“ dużo słyszałem od wiarogodnych osób, rodem z tak zwanej Hetmańszczyzny. Osobiście nie sprawdzałem, ni tych źródeł; ni tych opowiadań; jeżeli więc błędzą one, — błędzą ja. Podkreślone wyrazy „wieczornice ukraińskie“ należą do Jakuszki, podług moich notatek, których sprawdzić nie mam możliwości.

Jan Witort.

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

Cesarz Wilhelm oświadczył dyrektorowi hamburskiego towarzystwa żeglugi, że trójprzymierze odnowione zostało na lat sześć. Z analogicznymi zapewnieniami wystąpił też margr. Rudini w senacie włoskim. Oto najważniejszy, jakkolwiek wcale nie niespodziewany wypadek z ubiegłego tygodnia. Rozpoczynające się wakacje letnie posłużyły do zmanifestowania przyjaźni między mocarstwami zwłaszcza zaś porozumienia z Anglią. Cesarz Franciszek Józef wystąpił w tej roli pierwszy. W Riece (Fiume) zwiędził on szeregostwo przybyła tam flotą angielską i jeden z toastów wniósł za „serdeczne porozumienie“ z Anglią, z którą łączy monarchiją habsburską wspólność interesów. Niebawem znowu Wilhelm II przybędzie do Anglii, gdzie szykują mu już świetne przyjęcie. Po drodze odwiedzi on Holandiją, w której z tego powodu policja przedsięwzięła na szeroką skalę środki ostrożności, ponieważ otrzymała wiadomość, że socjaliści miejscowi wystąpić mają z wrogimi dla niepożądanego gościa manifestacjami.

Pomimo upałów wiele jeszcze parlamentów obradować musi. Wiedeńska rada państwa, niezrażona tem oryginalnem położeniem, że przewidywać dochody i wydatki musi wówczas, gdy połowa ich jest już zużytkowana, prowadzi dalej obrady nad budżetem i niepodobna przewidzieć, kiedy je zakończy. Tak zwany fundusz dyspozycyjny, t. j. przeznaczony na wydatki sekretne, kontroli publicznej nie ulegające, przyjęty został znaczną, bo aż $\frac{2}{3}$ osiągniętą większością głosów. Przeciw niemu oświadczyli się stronnictwa młodoczeskie, narodowo-niemieckie i większość antysemitów. Przy tej okoliczności Waszaty gromił energicznie Prażaka za to, że nic dla Czech nie zrobił, w obronie zaś jego występował morawianin Meznik, który, jak utrzymują, obejmie wkrótce urząd ustępującego stanowczo Prażaka. Deputowany zaś Schneider w mowie swej zaznaczał z naciskiem, że prasa żydowska zmieniła dziś ton względem rządów hr. Taaffego. To podkreślenie żydowskiego charakteru prasy wiedeńskiej (co, mówiąc nawiasem, jest zupełnie słusznem,) obruszyło lewicę, która ostentacyjnie opuściła salę posiedzeń.

Rozprawy nad budżetem ministerjum spraw zagranicznych były wielce ożywione. Wspomniany już Waszaty wystąpił znowu z energicznym potępieniem polityki trójprzymierza i wykazywał konieczność i pożyteczność sojuszu z Rosją, która w zamian za Konstantynopol pozwoliłaby monarchii austriackiej zażądać Salonikami. Mowa Waszatego sprawiła wielkie wrażenie, młodoczesi jednak wyparli się wszelkiej z oświadczeniami Waszatego solidarności. Podczas tych samych obrad dep. Lueger (antysemita) wykpiwał uległość rządu austriackiego wobec żądań węgrov, a raczej kliki wolnomularsko-żydowskiej, która zawładnęła sterem rządów w kraju S. Szecepana.

W Niemczech dzienniki zajmują się dotąd oceną działalności świeżo ukończonej sesji sejmku pruskiego. Wyborcami tego ciała są, jak wiadomo, tylko ludzie zamożni, wskutek tego więc niera w niem wcale socyalistów, wolnomyślni zaś liczą 20 głosów zaledwie. Pomimo to jednak ostatnia sesja znajduje sympatyczną ocenę w dziennikach liberalnych, gdy przeciwnie konserwatyści wcale nie są z niej zadowoleni. Najbardziej niepodoba się im nowa ordynacja gminna, która tworzy „gminę zbiorową“, poddając przez to „ziemie rycerskie“ pewnym opłatom, od których były one wolne. *Kreuz. Ztg.* oburza się zwłaszcza na byłego ministra Puttkamera, który w ostatniej chwili podtrzymał w izbie panów projekt rządowy i tem go ocalił. To odstępstwo od własnych przekonań dla przypodobania się „znajdującym się u władzy ministrom“ ściągają nań gromy niezależnej gazety, natomiast jednak przyniosło mu też urząd głównego prezydenta Pomeranii.

Ta ostatnia prowincja należy do tej wschodniej części monarchii hohenzollernskiej, której położenie zwraca uwagę rządu. Ostatnia rada koronna poświęciła jej swą uwagę. Prowincyje te upadają ekonomicznie i główną przyczyną tego jest ich wyludnienie t. j. że ludność miejscowa przenosi się wciąż do prowincyj zachodnich na stałe lub na dłuższy przeciąg czasu. Wobec tego braku rąk (tanich, dodajmy) do pracy rząd pruski został już zmuszony do cofnięcia wszystkich przepisów, krępujących przyływ robotników z Królestwa i Galicji.

Parlament włoski ukończył swe prace dwoma skandalicznymi posiedzeniami, na których krytykowano politykę, zwłaszcza wewnętrzną, rządu. Ta ostatnia wywołuje istotnie nieraz poważne niezadowolenie, gdy tymczasem zewnętrzna, pomimo krzykliwej opozycji

radykałów i istotnej niechęci ludności ku Austrii, ma za sobą aprobatę większości narodu.

We Francji sprawa melinitowa dotąd jest przedmiotem żywej dyskusji. Skompromitowany przyjaźnią z Tripone generał Ladvoat zażądał wytoczenia przeciw sobie procesu śledczego. O ile wnosić można z rewelacji pism francuzkich, Tripone pełnił przedtem obowiązki szpiega na korzyść Francji. *Autorité* zapewnia, że sprzedał on francuzkiemu ministerjum plany fortecy Spandau, oraz rysunki nowej broni niemieckiej. Szpiegostwo niemieckie we Francji rozwinięte jest bardzo silnie. Telegraf donosi o nowej sprawie tego rodzaju. Niejaki Schmiuder skazany został na 5 lat więzienia i 2000 fr. kary za to, że fotografował dla rządu niemieckiego forty paryzkie.

Po za tem zanotować należy utworzenie „Związku Francji chrześcijańskiej“, który będzie miał na celu na drodze legalnej domagać się „wolności wiary“. Na prezydenta obrano Chesnelonga, na wiceprezydentów zaś Kellera, bar. Mackau, hr. de Muna i d'Herbelota.

Intrygi stolicy apostolskiej w Irlandji uwięzają się podobno wkrótce powodzeniem. Tworzy się mianowicie nowe stronnictwo — katolickie, które ma zostać przedstawicielem interesów wyznaniowych wszystkich części monarchii angielskiej. Interesy narodowe i polityczne Irlandji będą odegrały w stronnictwie rolę drugorzędą.

Wybory ściślejsze w Holandji zapewniły większość stronnictwu liberalnemu. Zmiana ministerjum nastąpi jednak nie prędzej, jak po wizycie cesarza Wilhelma. Znany wódz socyalistyczny Nieuvenhin wybrany nie został.

Gazety bułgarskie przypisują wielkie znaczenie audyencji, jaką Franciszek Józef udzielił ks. Ferdynandowi, który zresztą figurował tylko jako hrabia Muranyi. Zaznaczyć musimy telegram, donoszący, że król Aleksander serbski zamiast do Paryża, do ojca, wybierze się niebawem z wizytą do Petersburga.

W Niel (w Belgii) nastąpiło starcie wojska ze strejkującymi robotnikami w fabrykach cementu. W Paryżu wybuchł strejk piekarzy i służby tramwajowej. Na Węgrzech zaburzenia chłopskie dotąd nie ustały. Z Wali południowej donoszą natomiast o przymusowym świętowaniu 30,000 robotników, wyrabiających blachę białą, a to z powodu przepełnienia rynku amerykańskiego.

W Pradze czeskiej odbywa się zjazd gimnastyków. Deputację francuzką powitano manifestacjami, przybyli również w znacznej ilości gimnastycy węgierscy, polscy i kroaccy i t. d.

Odbył się już ślub Parnella z panią O'Shea.

Cła zbożowe we Francji, na skutek porozumienia obu izb, niższe zostaną od d. 10 lipca.

Dawno zapowiadana dymisyja pruskiego ministra komunikacji Maybacha stała się faktem dokonany, posadę jego objął Thielen, prezes dyrekcji kolejowej w Hanowerze.

KRONIKA POWSZECHNA.

— **Rozporządzenia rządowe.** „Ruskie Wiadomości“ donoszą, że ministerjum spraw wewnętrznych przedstawiło w Komitecie ministrów projekt ograniczenia kolonizacji cudzoziemskiej w gubernii Wołyńskiej. W charakterze środków tymczasowych zaprojektowano: 1) zabronić na przyszłość zarówno pozostającym w poddaństwie ruskiem kolonistom cudzoziemskim, emigrantom zagranicznym, jako też mieszkańcom Królestwa Polskiego osiadania zewnątrz miast w gub. Wołyńskiej i władania tamże pod jakąkolwiek formą własnością ziemską; osoby, które osiedlą się tam po wydaniu niniejszych przepisów, mają być wysyłane drogą administracyjną do miejsca stałego zamieszkania; 2) nadać prawo generał gubernatorowi kijowskiemu, podolskiemu i wołyńskiemu uwalniania od poddaństwa ruskiego kolonistów cudzoziemskich z prawem usunięcia się tych ostatnich zagranicę. — Rada państwa przyjęła projekt nowych obostrzonych przepisów łowieckich, które będą obowiązywać w Królestwie. — Wszystkie zakłady naukowe (zwłaszcza chedery) w Warszawie mają najdalej do dnia 1 Sierpnia otrzymać prawidłową wentylację pod karą zamknięcia. — W „Zbiorze praw“ ogłoszono nowe przepisy, dotyczące małżeńskie zawieranych między osobami wyznania rzymsko-katolickiego i wyznania prawosławnego. Według nowych przepisów, małżeństwo takie może być ogłaszane tylko w cerkwi prawosławnej, ale pod warunkiem, by osoba wyznania katolickiego wzamian za świadectwo parafii rzymsko-katolickiej, przedstawiała parafii prawosławnej poświadczenie władzy policyjnej o bezennym stanie i prawie wejścia w związek małżeński. — Projekt opracowany przez ministerjum spraw wewnętrznych i sprawiedliwości, obostrza kary, wymierzane na lichwiarzy. Jeśli

pożyczka była udzieloną przez lichwiarza na warunkach, o których wiedział, że są zbyt uciążliwe dla dłużnika, albo jeśli lichwiarz ukrył wysokość procentu w sumie długu wekslowego, procencie za przechowywanie zastawu, wówczas ulega karze więzienia od 1—4 miesięcy. Procent, nie przynoszący $\frac{1}{7}$ kapitału pożyczonego, nie uważa się za lichwę. Umowa lichwiarska poczytuje się za nieistniejącą, a wierzyciel będzie miał prawo do żądania zwrotu tylko kapitału pożyczonego, z potrąceniem spłat, dokonanych przez dłużnika. — Władze gminne i straż ziemską otrzymały polecenie, aby najdalej w ciągu miesiąca wszystkie studnie otwarte, w celu zapobieżenia wypadkom utonięcia (dzieci), były otoczone belkowaniem, przynajmniej na arszyn wysokości. — Prawo z d. 26-go maja 1890 r. uchwaliło specjalny dodatkowy podatek od cukru. Dotąd obowiązywała tylko akcyza od buraków, przeznaczonych do przerobu; obecnie zaś będzie pobierany oprócz tego specjalny podatek z chwilą znalezienia się cukru w handlu. Dodatkową tę akcyzę opłacać będzie jedynie rafinada, sprzedawana na rynkach wewnętrznych, rafinada zaś, przeznaczona na wywóz za granicę, jest wolna zarówno od podatku dodatkowego, jak i od ogólnej akcyzy. Nowa akcyza znacznie obowiązywać od r. 1892. — Ministerjum wojny zamierza wprowadzić obowiązkowe ubezpieczenie życia oficerów i urzędników wojskowych, opierając je na zasadach wzajemności. („Grażdanin”). — Rada państwa zatwierdziła przedstawienie ministerjum skarbu, dotyczące nadania gubernialnym i powiatowym urządzeniom akcyzowym większych praw w sprawie udzielania pozwoleń na prowadzenie handlu trznkami oraz usuwania od handlu nieuczciwych handlujących. („Birż. Wied.”). — „Now. wr.” dowiadyuje się, iż kwestyja utworzenia centralnej prokuratury państwowej, któraby zajmowała się prowadzeniem wszelkich spraw, związanych z interesami skarbu, została pomyślnie rozstrzygnięta.

— **Kronika społeczna.** Oddział podrzutek przy szpitalu Dzieciątka Jezus w Warszawie ma być znacznie rozszerzony. — Wiec katolików szląskich, cztertnasty z rzędu, odbędzie się w mieście Raciborzu na Szlązku, w ddn. 5-tym, 6-tym i 7-ym lipca. Udział wezmą niemieccy polacy i niemieccy katolicy. Dla katolików nieniemieckich przeznaczone są dni 6-ty i 7-y lipca. — W Zbiorze praw i rozporządzeń ogłoszone zostały dodatkowe przepisy o środkach bezpieczeństwa w kopalniach, zwłaszcza przy używaniu materij wybuchowych w celach technicznych. — Dorobót skarbowych mularskich w Warszawie, około koszar, użyci zostali robotnicy z Cesarstwa. Pracują oni w „arteli“ bez udziału przedsiębiorców. — Ministerjum sprawiedliwości opracowało projekt przepisów, dotyczących odpowiedzialności przedsiębior-

ców. — Postanowiono wprowadzić do kodeksu karnego następujący artykuł: „Winy udziału w publicznym zbiegowisku, które połączonymi siłami dokonało napaści na osobę, porwania lub uszkodzenia cudzego dobytku, lub wtargnęło do cudzego domu, albo usiłowało uczynić cokolwiek z wymienionego powyżej z pobudek religijnych, plemiennych lub kastowych, albo z pobudek, wpływających z warunków ekonomicznych — podlega: pozbawieniu wszystkich praw osobistych i stanu, oraz zesłaniu na osiedlenie w Syberyi, albo oddaniu do oddziału aresztanckiego, według 3-ej, 4-ej lub 5-ej kategorii art. 31 ust. o kar. Jeżeli zaś takie zbiegowisko wspólnymi siłami stawiało opór wojsku, przywołanemu celem rozpedzenia tłumu, winny podlega pozbawieniu wszelkich praw stanu i zesłaniu do robót ciężkich na 6—8 lat, albo od 4—6 lat. Osoba, która wywołała podobne zbiegowisko, albo biorąca w niem udział i kierująca tłumem, podlega pozbawieniu wszelkich praw stanu i zesłaniu na osiedlenie w Syberyi, albo oddaniu do oddziałów aresztanckich, według 1-ej lub 2-ej kategorii art. 31 ust. o kar. Dla osoby, która kierowała zbiegowiskiem przy stawianiu oporu sile zbrojnej, lub zachęcała do niego — kara, według uznania sądu, może być podwyższona o jeden, dwa albo trzy stopnie.“ („Rusk. Wied.”)

— **Kronika ekonomiczna.** Dochody miejskie m. Warszawy w r. 1890-tym wynosiły rs. 2,843,813, t. j. około 20-tu milionów złotych. W końcu zeszłego stulecia, ogół dochodów z Warszawy dla skarbu i miasta czynił złotych 3,060,000. O pół wieku wcześniej wynosił on tylko złotych 60,791. Przed trzema wiekami, mianowicie w r. 1580-ym stałe źródła dochodów miejskich dały Warszawie zaledwie 998 ówczesnych złotych i 26 ówczesnych groszy, co po zamienieniu na monetę dzisiejszą, czyni około rs. 1,800. — Dla prawidłowego połowu ryb, nad każdą główniejszą rzeką, z jej dopływami, ma być ustanowiony inspektor z wyższym wykształceniem przyrodniczo-technicznym.

— **Oświata i szkoły.** Wskutek podania kuratora okręgu dorpackiego, studentom uniwersytetu w Dorpacie, którzy po otrzymaniu stopnia kandydata wstąpili do wojska, czas służby wojskowej nie będzie wliczany do terminu sześciomiesięcznego, oznaczonego dla napisania dysertacji na stopień kandydata i na wyższe stopnie naukowe. — Z nowym rokiem szkolnym wprowadzona będzie specjalna forma umundurowania dla uczniów wszystkich szkół miejskich (3-go rzędu). — Ministerjum oświaty ogłasza w Nr. 130 „Gońca Urzędowego“ konkurs na cały szereg podręczników dla szkół przemysłowych (średnich i niższych, technicznych tudzież rzemieślniczych).

— **Literatura i sztuka.** Minister spraw wewnętrznych rozkazał zawiesić drukowanie prywatnych ogłoszeń w warszawskim „Kuryerze Porannym“ przez trzy miesiące. — Na półkach księgarskich ukazał się tom XII „Pomników dziejowych wieków średnich, do objaśnienia rzeczy polskich służących“, p. t.: „Kodeks listów XV w., t. II, 1382—1446“, zebrany przez dra A. Lewickiego. — Firma paryzka Charpantier wydała w tych dniach „Les lettres de Marie Bashkirtseff“ (Listy Maryi Baszkirczewówny), między innymi do wybitnych pisarzy francuzkich, w kwestyjach po większej części literackich. Przedmowę do tych „Listów“ zmarłej pisarki napisał Franciszek Coppée. Przed 4-ma laty wydano „Pamiętniki“ tejże autorki, które miały wielkie powodzenie. — Firma wydawnicza J. Schabelin w Zürichu zamierza wydać książkę p. t. „Die Anarchisten-Culturgemälde aus dem Ende des XIX Jahrhunderts.“

— **Rozmaitości.** Największą liczbę słuchaczy posiada uniwersytet berliński, immatrykulowanych bowiem 4,611-tu, zaś wolnych 2,367. Według narodowości pochodzą 3,385-ciu z Prus, 649 z Niemiec, z Rosji 120-tu i z Austrii 55-ciu, z Węgier 47-miu, ze Szwajcarii 45-ciu, ze Szwecji i Norwegii 23, z Anglii 18-tu, z Rumunii 17-tu, z Holandji 13-tu, z Turcji 13-tu, z Włoch 10-ciu, z Francji 9-ciu, z Grecji 6-ciu, z Serbji 5-ciu, z Hiszpanji 4, z Bułgarii 4, z Danii 3, z Portugalii 1, z Ameryki 158-miu, z Azji 18-tu, z Afryki 2, z Australji 1. — Wskutek katastrofy na kolei Jura-Simplon „Koelnische Zeitung“ podaje wykaz większych katastrof kolejowych t. j. takich, gdzie ginęło po kilkadziesiąt osób, było od roku 1842—30. Jednakże katastrofa równa ostatniej rozmiarami, zdarzyła się raz tylko w r. 1880, kiedy wskutek zawalenia się mostu na rzece Fay utonęło około 200 osób.

— **Zmarli.** Józef Grabowski, artysta-rzeźbiarz, rodem z Lublina, zmarł we Florencji w d. 6-ym b. m.

Odpowiedzi od Redakcyi i Administracyi.

P. Ji Z. w H. Za zapewnienie przyjaźni serdecznie dziękujemy. Co się tyczy *Wrażeń* to nie odesłamy ich autora do Małeckiego, bo na to nie zasłużył, ale drukować nie będziemy. Takie *Wrażenia*, wówczas tylko mają racyję bytu, gdy się odznaczają formą niezwykle wytworną.

Przy numerze obecnym otrzymają prenumeratorowie zeszyt 2 (ostatni) Instytucyj kościelnych.

OGŁOSZENIA GŁOSU.

DIWANY, wszelkie pokrycia meblowe, Koldry, Kapy, Chodniki, Serwety, najlepiej kupować w głównym składzie **Giełżyńskiego**, Marszałkowska 137.

CO I JAK LUD NASZ CZYTA?
Kwestyonaryusz w sprawie wydawnictw ludowych przez
M. Brzezińskiego.
Warszawa 1890 r., str. 16 w 16-ce.
Cena 5 kop.

KSIĘGARNIA
TEODORA PAPROCKIEGO i S-ki
W WARSZAWIE,
41. Nowy Świat 41.

Księgarnia nasza przyjmuje prenumeratę na wszystkie pisma, dzieła peryodyczne i gazety codzienne, w kraju i za granicą wychodzące. Posiada wielki wybór dzieł w językach: **polskim, francuzkim i niemieckim.** Dostarcza dzieła wszelkiej treści i we **wszystkich językach**, po cenach oznaczonych przez wydawców. Załatwia specjalnie wszelkie zlecenia **osób na prowincyi zamieszkałych**, zakłada kantory prenumeraty pism, czyli agencury księgarskie.

Przyjmuje zamówienia na wszelkie druki, **regestra gospodarskie, materiały piśmienne**; podejmuje się pośrednictwa wszelkich robót drukarskich, po cenach najprzystępniejszych.

Informuje i zakłada **czytelnie i biblioteki**; zakupując książki hurtowo, po cenach najniższych, dostarcza takowe w oprawie lub bez oprawy.

Wogóle podejmuje się załatwiania danych jej zleceń, w **zakres księgarstwa wchodzących**, z całą sumiannością i akuratnością. Katalogi, prospekta oraz numery okazowe pism wysyła bezpłatnie.

Pozostała pewna ilość egzemplarzy
WYDAWNICTWA ZBIOROWEGO
„**NA GARNUSZEK**”
wydanego pod redakcją „Kolców”
NA KORZYŚĆ NIEMOWLĄT POZBAWIONYCH RODZINY,
jest do nabycia po cenie **zniżonej**
w redakcji „Kolców“ (Niecąła Nr. 12 w Warszawie),
oraz we wszystkich księgarniach warszawskich.
Cena za egzemplarz k. **20** z przesyłką pocztową k. **30**.

Nakładem i drukiem A. Pajewskiego
wyszła następująca książka:
ZASADZKA
Powieść przez **Juljusza Mary.**
Cena kop. 75.

Дозволено Цензурою. Варшава, 21 Юня 1891 г.

Druk A. Pajewskiego, Niecąła № 12 w Warszawie.

Redaktor i Wydawca **J. K. Potocki.**